

MYSŁ NARODOWA

DWUTYCODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 15

WARSZAWA, 15 CZERWCA 1928 R.

CENA NUMERU 1 zł.

ANALOGIE HISTORYCZNE

GDY zastanawiamy się nad dzisiejszemi niedomaganiem konstytucyjnymi, musimy sięgać myślą w dawną naszą przeszłość, a to w tym celu, by nawiązać do tych tradycji, które są zdrowe, a zarazem by uniknąć błędów naszego ustroju, które były źródłem słabości. Ku tej przeszłości zwrócił się też w swoim przemówieniu w Sejmie ks. Janusz Radziwiłł, wzywając do unikania tych błędów, które popełniono w XVI w., w czasie walki o zakres władzy królewskiej. „Był to moment”, — mówił — „gdy Stefan Batory śmiało i zdecydowanie podjął walkę z ówczesną demokracją szlachecką. Cały szereg zdań, które słyżeliśmy przy obecnej dyskusji w tej Wysokiej Izbie, żywo przypomina zdania, które podówczas właśnie ze strony tej demokracji szlacheckiej padały... Nie idźcie Panowie dzisiaj w zmienionych warunkach naszego bytowania narodowego tą samą drogą, którą szła dawna szlachta polska, przeciwstawiając się każdej próbie wzmoczenia autorytetu Rządu i autorytetu ówczesnej głowy państwa“.

Mniejsza już o to, czy zupełnie ściśle są szczegóły historyczne, na których oparta jest powyższa analogja. Stefan Batory istotnie dążył do wzmocnienia władzy królewskiej, ale w tej walce usiłował się oprzeć właśnie na demokracji szlacheckiej, przeciw anarchji możnowładzców; przez nich był uważany za parwenjusa, dążyli oni do tego, by jego władzę jaknajbardziej osłabić. Wszelako w grubych liniach analogja z przeszłością niewątpliwie istnieje. Władza królewska była słaba, Sejmy były wszechwładne, przynajmniej o ile chodzi o czysto negatywną stronę ich działalności. Przez naszą przeszłość, jak nić czerwona, przebiega problemat stosunku władzy królewskiej do praw parlamentu, który to problemat nie mógł, na nieszczęście państwa, doczekać się racjonalnego rozwiązania.

Bardzo ciekawie to zagadnienie formuluje Stan. Leszczyński w swoim „Głosie wolnym“: „Przyznać należy, że nasi antecessorowie najwarowniejsze założyli fundamenty *in iusto aequilibrio* między powagą majestatu i władzą praw i prerogatyw wolności, tą intencją, aby królowie powagą majestatu wstrzymywali wolność, z drugiej strony, żeby wolność hamowała ambicję królów... I cóż za skutek tak zbawiennej symetrii? Ten, że majestat pasuje się ustawicznie z wolnością, aby ją zgubić, a wolność z majestatem, żeby zrzucić z siebie to jarzmo, którego się strasznie boi“.

Istotnie, było ciągle pasowanie się majestatu z wolnością. Niejeden król, nietylko Stefan Batory, dążył do zdobycia większej władzy, a szlachta o swoją wolność była zazdrosna. Z tej walki nic nie wyszło, aż po sam koniec istnienia Rzeczypospolitej. Trudno tu dociekać przyczyn, dlaczego się tak stało. Ale jest jedna rzecz bardzo znamienna. Oto był spór z poszczególnymi królami, którzy chcieli mieć większą swobodę ruchów, ale nie było stałego dążenia, by stosunek władzy królewskiej do parlamentu oprzeć na innych konstytucyjnych podstawach. Król chciał mieć więcej władzy dla siebie. Szlachta opierała się, stawiając zwykle całą rzecz na gruncie raczej osobistym, stosunku do osoby króla. Ale mimo tej walki, na przestrzeni paru ostatnich wieków istnienia dawnej Rzeczypospolitej nie znajdziemy wielu projektów naprawy jej ustroju, a w każdym razie nie było stronnictwa, któreby umiało dążyć do realizacji określonego przez siebie programu, z pokolenia w pokolenie, niezależnie od przejściowych konjunktur politycznych.

Powtarza się jeszcze i dzisiaj płytkie frazesy, że dawną Polskę zgubiła niezgoda stronnictw. A tymczasem cechą znamieną życia politycznego dawnej Polski był właśnie brak stronnictw politycznych, jeżeli

przez stronnictwo rozumiemy organizację z programem, obliczoną na dalszą metę, dążącą do władzy w imię tego programu. Były u nas facje, pozostające czasami na usługach obcych, które tworzyły się wtedy, gdy chodziło o wybór króla, a potem traciły swoje znaczenie. Były „familje” potężnych rodów, które przy pomocy utrzymywanej przez siebie klienteli dążyły do zagarnięcia dla siebie godności. Zdarzały się od czasu do czasu rokosze przeciw prawowitej władzy. Ale stronnictw nie było. Dawni Polacy byli bezpartyjni — a ta bezpartyjność doszła do największego rozkwitu za czasów saskich. Gdy zaś w II połowie XVIII w. zjawił się ruch w kierunku ratowania Polski, wówczas zaczęły powstawać stronnictwa. Dziełem stronnictw była Konstytucja 3 Maja — nie zawsze więc stronnictwa przynosiły nieszczęście Polsce.

Jak jest dzisiaj? Jesteśmy świadkami naganki na stronnictwa, jako na źródło niezgody i słabości państwa. Głosi się kult „bezpartyjności”. Czasami nawet walce stronnictw przypisuje się nasze niedomagania gospodarcze. Tak np. w sprawozdaniu komisji budżetowej o budżecie Ministerstwa Rolnictwa czytamy następujące zdanie: „W dyskusji zapytano, czemu rolnictwo nie wyzyskało koniunktury z epoki dewaluacji za czasów poprzednich — otóż sądzę, że za wiele czasu i energii poświęcano na walki polityczne oraz partyjne, — jednym słowem za wiele było próżniactwa i partyjnictwa, a za mało pracy i produkcji”.

Otóż „partyjnictwo” i „próżniactwo” uchodzą tu niemal za synonimy. Coprawda właśnie spekulacyjne wyzyskiwanie dewaluacji doskonale łączyło się z próżniactwem, ale nie o to w tej chwili chodzi. Łatwo jest wskazać na przykłady, że rozwój „partyjnictwa” nie przeszkadza rozwojowi produkcji. Wielka Brytania w I połowie XIX wieku przeszła okres ogromnego rozkwitu gospodarczego, a równocześnie wtedy walki partyjne były bardzo żywe. Rozwielmożnione niewątpliwie partyjnictwo w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. nie przeszkadza bynajmniej jej gospodarczej potędze, doprowadzeniu pracy do największej intensywności. Nie można łączyć razem, a nawet przeciw-

stawiać sobie rzeczy, między którymi niema logicznego związku.

Na tle tych faktów występują jaskrawie istotne analogie historyczne z naszą przeszłością i cała szkodliwość walki z tak zw. „partyjnictwem”. Polska obecna musi rozwiązać ten sam problemat, z którym przez całe wieki porała się bezskutecznie dawna Rzeczpospolita: problemat równowagi władz, skutecznego wzmocnienia władzy wykonawczej. Widzimy, że ci, którzy mówią o potrzebie tego wzmocnienia, stawiają nieraz błędnie całą sprawę na gruncie osoby, na gruncie stosunku w danej chwili aktualnego. Chodzi im o to, by silnym był ten a ten rząd, a nie rząd wogóle. Ci zaś, którzy odczuwają potrzebę gruntowniejszej naprawy naszego ustroju, skupieni w organizacji politycznej, uważającej się za „bezpartyjną”, łączącej najsprzeczniejsze żywioły, nie mogą się pogodzić z sobą co do tego, w jakim kierunku ma iść zmiana Konstytucji i poprzestają na drobiazgach i frazesach. Jeżeli w grupie tej jest pozytywna wola przedłożenia projektu naprawy, to ta grupa musi stać się... partją, — albo też z niej wydzieli się parę partyj o odmiennych programach; niema innego wyjścia. Muszą ci ludzie uznać, że programy nie są „mierzwą słomy”.

Niewątpliwie taki stan rzeczy, w którym rządząca grupa polityczna skupiona jest wokół jednej osoby i w praktyce zadowala się podziałem władzy i wpływem na nią, a nie znajduje jednej, wspólnej odpowiedzi na najważniejsze zagadnienia państwowe, nie jest świadectwem wysokiej kultury politycznej. Ale w dzisiejszych warunkach takie stosunki długo trwać nie mogą. Rzeczywistość silniejsza jest od bezpartyjnego frazesu. Jest obowiązkiem świadomych politycznie czynników przyspieszyć ten proces dojrzewania politycznego społeczeństwa. Winno ono zrozumieć, że nie wolno nam popadać w dawne błędy, nie wolno nam żyć w atmosferze, w którejby nie mogły się rozwijać nowoczesne stronnictwa. „Bezpartyjne” czasy saskie nie mogą być wzorem, który będziemy naśladowali.

ROMAN RYBARSKI

ZMIERZCH INDUSTRIALIZMU

ENTUZJAŚCI Ameryki, których się u nas, jak wszędzie zresztą w zbiedniałej Europie, namnożyło ponad miarę, powinnyby mieć teraz chwilę zwątpienia: oto w tej słynnej ze znakomitych urzędów i świetnych, za wzór stawianych metod gospodarczych krainie jest obecnie 4.000.000 bezrobotnych. Jest to niewątpliwie jeszcze jeden z wielu rekordów amerykańskich, ale tym razem rekord, z którego chyba amerykanie, ani ich czciciele nie są dumni.

— Cóż u licha, — pomyśli niejeden z wielu admiratorów Nowego Świata, tylu ludzi bez pracy? I to mimo Taylora, Hoovera, Forda, i kolosalnych bogactw zgromadzonych podczas wojny? Coś tam musi być nie w porządku.

W i innym, wysoce przemysłowym kraju, w Anglii, liczba bezrobotnych od czasu wojny trzyma się

stale niemal ponad miljonem, opadając poniżej tej kwoty tylko na czas krótki, przejściowo. A przecież jeszcze najnowsze metody, zwiększające wydajność pracy, nie są bynajmniej powszechnie stosowane. Co się stanie, gdy naukowa organizacja obejmie wszystkie kraje i przemysły? Ilu wówczas będzie bezrobotnych i kto będzie ową produkcję konsumował?

Zagadnienie, które obecnie domaga się rozwiązania nie jest bynajmniej nowe. Pojawiło się ono odrazu przy wprowadzeniu w początkach XIX wieku maszyny parowej i warsztatu mechanicznego. Wywołało to, jak wiadomo, bunty pozbawionych pracy przeciwko maszynom. Z buntami poradzano sobie w sposób drastyczny: w Anglii powieszono 18 robotników za próby niszczenia maszyn, ale zagadnienia nie rozwiązano. Znikło ono jednakże chwilowo, a to

z tego powodu, że wywołany przez zastosowanie pary rozwój komunikacji, zmienił konjunkturę i pozwolił na to, że Anglja, która pierwsza wprowadziła u siebie pracę maszyn, stała się krajem fabryk, produkujących na użytek całego świata. Lokalne tedy bezrobocie angielskie ustąpiło przed światowymi rynkami, otwartymi przez koleje żelazne i żeglugę parową, popartą, jak to było w Japonji, bombardowaniem portów, których właściciele nie dość śpiesznie otwierali swe kieszenie przed kupcem angielskim czy później amerykańskim. Mechanizacja produkcji świeciła przez długi okres triumfy i sprowadziła na narody wcześniej jej się poświęcające wielki dobrobyt: zarobek realny człowieka, żyjącego z pracy rąk, wzrósł w Anglji w ciągu XIX wieku czterokrotnie, robotnik w końcu tego stulecia mógł za swą pracę nabywać cztery razy więcej żywności, ubrania i t. p. niż w końcu XVIII wieku. Narody przemysłowe zgromadziły potężne bogactwa, nic dziwnego przeto, że wątpliwości co do systemu, sprowadzającego tak błogie skutki, upadły, a dopóki organizacje robotnicze nie nabrały dostatecznej siły, wszelkie żądania obrony człowieka przed maszyną, a nawet ograniczenia pracy dzieci i kobiet uważano wprost za herezję.

Z niewspółmierności między maszynową wytwórczością a spożyciem narodził się wprawdzie socjalizm, ale z biegiem czasu zapomniał on o swoim pochodzeniu, stał się wyznawcą nieograniczonego panowania maszyny i gromadzenia ludzi w wielkie stada, pracujące według sygnałów syreny fabrycznej i nic dla zasadniczego rozwiązania problemu nie uczynił. Tymczasem zagadnienie to, przestonięte konjunkturą, którą trudno wprawdzie byłoby nazwać chwilową, bo-wiem trwała prawie wiek cały i jeszcze dzisiaj się nie skończyła całkowicie, ale jest w każdym razie czasową, zaczyna się narzucać naszej uwadze coraz natęczywiej. Istnieją jeszcze Chiny, Rosja i inne kraje mało uprzemysłowione, konjunktura się jeszcze nie wyczerpała całkowicie, dlatego też industrializm nowoczesny nie daje za wygraną. Jest jednakże, i słusznie, zaniepokojony, zbiera narady, ankiety, tworzy nowe organizacje, obmyśla sposoby. Niektóre z nich są wprawdzie dla cywilizacji groźne.

W którymś z pism angielskich pomieszczono żartobliwe przedstawienie sposobu pogodzenia zbyt wielkiej maszynowej produkcji z ograniczoną możliwością spożycia. Ulubioną potrawą w Szkocji jest rodzaj kaszy owsianej, specjalnie przyrządzonej, zwanej tam „porridge”. Jest to wprawdzie obrzydliwość nie do przełknięcia dla katolickiego gardła, ale Szkoci zjadają się tem zapamiętałe i nawet przypisują temu jadłu większość swych pozytywnych właściwości narodowych. Otóż ów żartobliwy autor angielski powiada, że tak popularny i szeroko się rozchodzący artykuł, jak „porridge” zwrócił uwagę sfer przemysłowych i niebawem na rynku ukazała się maszyna do gotowania owej kaszy, ogromnie ekonomiczna, nie wymagająca pomocy kucharki i niesłychanie, ileś tam razy wydajniejsza od zwykłego garnka. Cóż kiedy ludność całej Szkocji nie byłaby zdolna zjeść przy najlepszych chęciach nawet drobnej części tej ilości „porridge’u”, jaką owe maszyny mogły zgotować, i wobec tego sprzedaż maszyn rychło stanęła. To jednakże nie zniechęciło pomysłów przedsiębiorców, przeciwnie, powołało nowy rodzaj przemysłu, mianowicie wyrób pomp do wypompowywania „porridge’u” z żołądka i robienia w ten sposób miejsca na nowe porcje, a już odpowiednia reklama wmówiła w ludzi przekonanie, że to jest właśnie najhygieniczniejszy

i odpowiadający najnowszym zdobyczom nauki sposób odżywiania.

W żarciu tym jest atoli niemałe jądro prawdy. Wystarczy przyrzeć się uważnie stronicom ogłoszeniowym prasy obu kontynentów, żeby ocenić jak poważna część wysiłków przemysłowych skierowana jest ku wytwarzaniu przedmiotów nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebnych, zbywanych z wielkim trudem przy pomocy reklamy, kosztującej nieraz więcej, niż sama produkcja. Przecież słynny samochód Forda nie różni się zasadniczo od owej maszyny do „porridge’u”: Zachęca on niską ceną tych nawet, którzy go nie potrzebują, stwarza sobie tym sposobem obszerny rynek zbytu i podtrzymuje ten rynek tem, że jako produkt lichy prędko się psuje, częstokroć prędzej nawet, aniżeli zostaną spłacone raty, na jakie został nabyty. Nie chodzi tu o urażenie licznych u nas wielbicieli Forda, o podanie w wątpliwość jego wybitnych talentów konstrukcyjnych i organizacyjnych, aczkolwiek i tutaj, stosownie do zwyczajów epoki gwiazd filmowych, nazbyt łatwo szafujemy epitetem „genjalny”; po namyśle każdy przyjdzie jednak do przekonania, że system Forda stwarzania sobie rynku zbytu jest ekonomicznym figlem. Na figlu takim oczywiście można — jak tego dowiodł — zrobić wielki majątek, społeczny jednak wynik tej ekonomji jest conajmniej wątpliwy.

Tego rodzaju figłów celem sztucznego wywołania popytu na wytwory, płynące nieustającą i wciąż wzbierającą falą maszynowej produkcji, jest w dzisiejszej gospodarce bardzo wiele, są to jednak wszystko paljatywy, nie rozwiązujące kwestji zasadniczo. To też dzisiejszy industrializm stosuje już i rozważa także inne środki, groźniejsze.

Pisałem już przed niejakim czasem w „Myśli Narodowej” o coraz wyraźniej występującej „złotej” międzynarodowce, czyli o międzynarodowej finansjerze, sięgającej po berło panowania nad światem. Manifest wydany do narodów i rządów przez tę międzynarodówkę przed niespełna dwoma laty, ujawnił tendencje, panujące w kołach wielkich bankierów świata, nie odniósł on jednakże na razie żadnego skutku. Nie zraziło to przecież finansistów i przed paru tygodniami dowiedzieliśmy się o powstaniu organizacji finansowej, mającej nauczyć rozumu ludzkość, dotychczas jeszcze oporną. Pod kierownictwem znanego przemysłowca, szlachcica angielskiego wyznania mojżeszowego, sir Alfreda Monda, powstało konsorcjum finansowe, na razie z kapitałem tylko 2 milionów funtów szterlingów, lecz oparte, według oświadczenia p. Monda, o zasoby właściwie nieograniczone. Konsorcjum to zamierza zająć się racjonalną organizacją produkcji i, jak skromnie oświadcza p. Mond, nie stawia przytem sobie geograficznych granic w swej działalności. Mamy tedy pierwszą świadomą i celową próbę narzucenia narodom takich form produkcji, jakie leżą w interesie wielkich finansów międzynarodowych, zorganizowania świata według życzeń londyńskiego *city* i nowojorskiej *Wallstreet*. Na razie wprawdzie sir Alfred zapowiada bojkot tylko sowietów, ale, oczywiście, biada wogóle wszystkim krnąbrnym narodom, których polityka w jakiegokolwiek gałęzi nie będzie odpowiadała widokom finansjery — zostaną one odcięte od źródła kapitału. Działo się to, rzecz zrozumiała, częściowo i dotychczas, jednakże bez systemu ogólnego. Istniała więc konkurencja między rozmaitemi grupami finansowymi, rynek pieniężny w Anglji i Ameryce w sprawach inwestycyji zagranicznych słucał wskazówek władzy politycznej. Teraz ma być wszystko

usystematyzowane, a wszelkie względy podporządkowane interesowi kapitalistycznej produkcji. Mamy już, jak się okazuje, pierwsze narzędzie do podboju świata przez zjednoczony kapitał.

A podobój ten ma iść bardzo daleko i dotknąć dziedzin dotychczas nieporuszanych. Głośny ekonomista obozu liberalnego w Anglii, znany i u nas z czasów dyskusji nad traktatem wersalskim, John Maynard Keynes, oświadcza się w swych wykładach, wydanych pod tytułem „*The End of Laissez-Faire*”, za ograniczeniem przyrostu ludności. Mówi wprawdzie, że każdy naród będzie musiał zdecydować, jaka liczba ludności jest najodpowiedniejsza i ustaliwszy to, będzie musiał zastosować środki do osiągnięcia tego celu, jednak od tego przecież tylko krok do międzynarodowego regulowania tej sprawy, a ponieważ wywołana została ekonomicznymi względami, więc oczywiście kompetentną instancją będą ekonomiści, czyli bankierzy. A skoro raz zdecydujemy się już na ustawowe regulowanie przyrostu ludności i utrzymywanie liczebności narodu na ekonomicznie najodpowiedniejszym poziomie, to przecież byłoby nieopatrnie i nie logicznie pozostawić przypadkowi liczebne ustosunkowanie się poszczególnych klas czy warstw narodu. Wszystko tedy musi być według jakiegoś cenzusu ustalone i odpowiednie kwanta przyrostu do pewnych zajęć winny być, według wskazań psychotechniki, trenowane. Społeczeństwo termitów.

Tomasz Morus, pisząc swoją „Utopję” w zaraniu epoki przemysłowej, zauważył, że na polach Anglii owca zaczyna zjadać człowieka. Dziś maszyna okazuje niedwuznaczną chęć pożarcia ludzkości. W odległych wiekach, kiedy ludzie umieli wyciągać z ziemi niktę tylko plony, głód okrutnym uciskiem utrzymywał słabą liczebność narodów. Dziś w epoce rozkwitu wszelkiej techniki, radzą nam ograniczać rozrost ludzkości dlatego, że udoskonalone maszyny potrzebują już mniej ludzi do obsługi. Człowiek więc jest dla maszyny i przemysłu, a nie maszyna dla człowieka. Pomysły te są nie tylko względem człowieka bluźniercze, ale i dość lekkomyślne; bo ostatecznie dla kogo te maszyny będą produkowały? Świadczą tylko o zmierzchu panującego systemu industrialnego, skoro on aż do tak rozpaczliwych uciekać się musi środków.

W największym kłopotcie znalazły się dziś oczywiście te kraje, które oparły całą swoją egzystencję na przemyśle, a którym się obecnie klienci jeden po drugim wymykają. Jednak i u nas sprawa należytego zorganizowania gospodarstwa narodowego nie jest nie tylko rozwiązana, ale dotychczasowe kroki stawiamy bodajże przeważnie na fałszywej drodze. Idziemy wciąż, a raczej usiłujemy tylko iść naoslep za krajami przemysłowymi, nie badając krytycznie ich stanu i doświadczeń.

Ekonomiści nasi nawołują do uprzemysłowienia kraju tak, żeby przynajmniej 40% ludności mogło znaleźć zatrudnienie w fabrykach. Jest to zresztą od dawna i powszechnie uznane za pożądane, do tego celu zmierzały wysiłki społeczeństwa przed odzyskaniem niepodległości i w tym kierunku pracują wszystkie nasze rządy. Bez większego wszakże, jak dotąd, skutku. I trzeba stwierdzić, że widoki powodzenia są nader małe, jeżeli trzymać się będziemy międzynarodowego szablonu, zamiast zdobyć się na obmyślenie własnego, dostosowanego do naszych warunków i potrzeb programu ekonomicznego.

Mówiąc i pisząc o uprzemysłowieniu kraju, niemal zawsze mamy na myśli jedynie przemysł wielki, fabrykujący na eksport. Oczywiście, byłoby dla nas pod względem materialnym nadzwyczaj korzystne, gdybyśmy mogli rozwinąć u siebie taki przemysł i tym sposobem z bogacić się na wywozie naszych gotowych produktów, jednak szanse osiągnięcia tego są bardzo nikłe. Rynki świata przeładowane są produktami, zwłaszcza masowej fabrykacji, i nie jest to bynajmniej kryzys chwilowy, lecz zmierzch okresu industrialnego. Pojemność rynku światowego jest ograniczona, a tymczasem możność, a nawet konieczność ustawicznego zwiększania produkcji w dzisiejszym systemie wciąż rośnie. Stąd kryzys. W państwach najbardziej uprzemysłowionych, jak w Anglii, myślą tedy nad sposobami skierowania pewnej części ludności miast napowrót na rolę, a z drugiej strony oczywiście nad zabezpieczeniem sobie istniejących jeszcze rynków zbytu; pośród metod zaś, wiodących do tego celu, widnieje zarówno we wnioskach partii liberalnej, jak i w programie Alfreda Monda — odmowa kapitałów na uprzemysławianie przyszłych konkurentów. W tych warunkach zdobycie jakiegoś nowego rynku zbytu będzie niezmiernie ciężkie, jeżeli nie niemożliwe. Najlepszy dowód mamy na naszym wywozie węgla do Skandynawji: pod naciskiem konkurencji angielskiej wywozimy tam węgiel ze stratą i na pokrycie tej straty pozwalamy przemysłowcom węglowym na podnoszenie cen na rynku wewnętrznym; podtrzymując więc ten kulejący eksport wspólnymi siłami, ze wspólnej kieszeni, płacimy pewien podatek, rodzaj premii ubezpieczeniowej, żeby mieć w zagłębiach węglowych mniej bezrobotnych. Nie zamierzam tu kwestjonować tej polityki i rozpatrywać, czy opłacanie tej premii nie kosztuje społeczeństwa drożej, niżby wyniosło utrzymanie owych przypuszczalnych bezrobotnych, chodziło mi jedynie o zwrócenie uwagi na to, że nawet w wypadku, kiedy rozporządzamy pierwszorzędnym produktem i zupełnie nowoczesną organizacją wytwórczą i handlową, zdobycie i utrzymanie rynku zewnętrznego bywa operacją deficytową. Cóż przeto mówić o bardziej zacofanych pod względem organizacyjnym przemysłach, albo o takich, które dopiero obecnie, przy dzisiejszej drożyznie pieniądza przysłoby montować?

Zamiary oparcia naszej pomyślności na wielkim przemyśle eksportowym wydają się dość nierealne, skoro bogatsi od nas i wyżej stojący konkurenci, sami poszukujący gorączkowo rynków, nas na nie nie wpuszczają. Tymczasem organ naszej woli w tej dziedzinie, ministerstwo przemysłu i handlu jest całkowicie pod urokiem tych marzeń, jak świadczy charakterystyczna pozycja subwencji. Czytamy tam: na nagrody dla terminatorów — 5000 zł. na poparcie sportu żeglarskiego i propagandę morza — 130000 zł. Nie mam, broń Boże, nic przeciwko sportowi żeglarskiemu i propagandzie morza, uderzyć przecież musi każdego stosunek tych dwóch cyfr, skoro wiadomo, że rzemieślnictwo u nas stanowi wielką pozycję w gospodarstwie narodowym i żyje z niego kilkaset tysięcy rodzin. Czy zaś wobec takiego stosunku do realnych zjawisk naszego życia nie jest zrozumiałe, że z owym „uprzemysłowieniem kraju” jest tak jakbyśmy nieco w piątkę gonili?

Ta mało wawrzynów obiecująca gonitwa będzie trwała dalej, jeżeli wciąż będziemy upierali się przy formach przeżytych i startowali z wielkim impetem w tym samym kierunku, w którym inni dobiegli już do mety

i... znajdują się wobec bezdroża. Industralizm doszedł do kresu i zadania zasadniczego, zapewnienia ludziom pracy i chleba, nie rozwiązał. Uczony przedstawiciel tego kierunku p. J. M. Keynes (i nie on jeden) widzi ratunek między innymi w ograniczeniu wzrostu ludności, czyli innymi słowy nie znajduje innego wyjścia, aniżeli praktykowane z głodu przez barbarzyńskich chłopców, mordowanie „zbytecznych“ dzieci. Czyż

można sobie wyobrazić jaskrawszy dowód bankructwa systemu gospodarczego, do takich dochodzącego rezultatów?

Narodowy program gospodarczy musi ominąć tę ślepią ulicę, w którą zabrnęły społeczeństwa, czyniące człowieka niewolnikiem maszyny.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

O IDEI JAGIELLOŃSKIEJ

(Dokończenie)

RZECZĄ było polityki wewnętrznej kraje przez państwo uzależnione od Polski, zespolić z nią mocniej, przyswoić, wchłonąć. Czy ten nakaz, uznawany przez wszystkie rządy świata, Jagiellonowie zlekceważyli? Czy może przeciwnie, próbowali łamać i niszczyć wszelką w państwie odrębność terytorjalną, wyznaniową, narodowościową, na sposób moskiewski lub germański?

Ani jedno ani drugie. U progu unji stanęli wobec faktu rzeczywistego nie do usunięcia. Faktem tym był nadmiar obszaru. Że Polska nie może naprawdę zaanektować Litwy, o tem przekonał się prędko Jagiełło. Również niepodobieństwem była prędką asymilacja przez rozkaz z góry: możliwym tylko *mysterium charitatis* na podkładzie solidarnych interesów panującej warstwy społecznej. Cokolwiek nie przejęło się duchem owej solidarności, co poczuło się plemienne, religijnie, kulturalnie obcem, lub choćby obojętnem a lekkiem, to w drugiej połowie XV wieku od państwa Litewskiego odpadło i zamalgamowało się z Moskwą. Reszta tem mocniej zrosła się z Litwą, a pośrednio z Polską Jagiellonów.

Trzy czynniki złożyły się wówczas na ów proces zrastania się: rozległość obszarów do zasymilowania, osobisty charakter królów, nieskłonnych do gwałtu — oraz polskie, a nie litewskie, więc właściwie nie jagiellońskie zasady stanowienia o sobie.

Jeżeli Kraków nie mógł niczego narzucać Sandomierzowi, ani oba razem zadać gwałtu Wielkopolsce, to czyż mogła być mowa o forsownej unifikacji całej Litwy i Rusi przez polskie ośrodki państwa Jagiellonów? Ani siły, ani ochoty nie było po temu, by dajmy na to, kasować radę W. Ks. Litewskiego i zastępować ją senatem kopjowanym z Polski albo przebudowywać na polski sposób sejm litewski. Naród, który w osobie Pawła Włodkowica uczył Europę, że się nie godzi przemocą nawracać niewiernych, nie mógł przemocą przerabiać ducha współbraci chrześcijan, ten naród o łagodnej krwi (*dulcis sanguis Polonorum*) wpaja Litwie zasady braterstwa; w dyplomacie horodelskim panów polskich i nie w żadnym innym, znalazła wyraz słynna *charitas*, idea polska i chrześcijańska a nie żadna idea jagiellońska, jak polskim był również ów samorząd sejmikowy, który ziemie ruskie, a później też litewskie od nas zapożyczyły.

Potomkowie Jagiełły również z całą Litwą przyjęli od nas poczucie konstytucyjne i poszanowanie samorządu stanów oraz dzielnic. Ciężko z nim bywało Kazimierzowi IV i niewiadomo, jakby współżyli z sejmem Olbracht i Aleksander, gdyby pożyczili dłużej. Zygmunt I z ubolewaniem pisał o skrępowaniu monarchicznych rąk szalonymi plebiscytami.

A jego syn już bez ubolewania, z zupełną owszem rezygnacją tłumaczył królowi duńskiemu, że królowie polscy żyją i rządzą według ustaw, a nie według swe-

go widzimi się. Rezygnacja nie rozciągała się jednak na pierwszorzędne sprawy duchowe, od których zdrowie moralno-polityczne państwa zależało. Słychać czasem o państwie jagiellońskim, jako o jakiejś arce Noego czy wieży Babel różnych języków, wiar i obyczajów, bez narodowej świadomości. W taką karykaturę idea jagiellońska nie wpadła. Sprawy językowe Zygmuntowie pozostawili społeczeństwu, i ono samo pod powiewem reformacji rozwinęło i rozniosło mowę polską aż po Bałtyk, Dniepr i Dźwinę, jednakże Zygmunt August umiał żądać od krnąbrnych Gdańszczan, by doń przemawiali po polsku. W stosunku do wyznań zaznaczyła się wcześniej na Litwie i na Rusi dążność do propagandy katolicyzmu przez przyznanie samym katolikom horodelskich przywilejów społecznych: ta powściągliwość opłacała się państwu niezgorzej. Nowinkarzy zachodnich traktował Zygmunt Stary pobłażliwie, o ile nie wywoływali — jak w Gdańsku — rozruchów społecznych. Zygmunt August wahał się między Rzymem i kościołem narodowym, czekając aż naród sam okaże, czy pragnie reformy kościelnej i mianowicie jakiej: z chwilą, gdy propaganda protestantyzmu wyczerpała swą siłę, król przyjął ustawodawstwo trydenckie, i łagodnie ale stanowczo zabrał się do przywracania Polsce jednolitości religijnej. Co się zaś tyczy poczucia narodowego, to w pojęciu Zygmunta Augusta każdy obywatel jego państwa musiał być *natione Polonus* albo *Lithuanus*. „Wyście Polacy!“ wołał do tych Prusaków, co w sejmie walnym wspólnego państwa nie chcieli siedzieć, a u siebie na sejmiku prowincjonalnym dąsali się na dźwięk polskiej mowy.

Na tle tych przeobrażeń duchowych, wśród rozlicznych objawów politycznego całkowania się Rzeczypospolitej, dojrzywała najrdzenniejsza część „idei jagiellońskiej“ — unja z Litwą. Wiadomo, ile ona przeżyła wcieleń i zaćmień. Po akcie krewskim, t. j. po inkorporacji (1385) — akt radomsko-wileński, przywracający samoistność państwową Litwy (1401), akt horodelski, utwierdzający unję osobistą; zerwanie tej unji w r. 1492, luźne przymierze r. 1499, znów unja osobista mielnicka r. 1501, wreszcie unja realna lubelska.

Co jakiś czas, z charakterystycznym uporem wraca w tych układach hasło inkorporacji: brzmi ono i w r. 1385 i w 1413 i w 1501. Wielki książę Aleksander sam je podejmuje jako jedyny sposób „naprawy“ Rzplitej: zgłaszając się po koronę polską, aby do Polski wcielić Litwę. Wtedy możnowładcy z W. Księstwa, wstrząśnięci najazdem moskiewskim, już przejmują zasadę inkorporacji, byle przez nią rozumieć obustronne zlanie się dwóch narodów, a nie pochłonięcie jednego przez drugi. Później ten nastrój na Litwie mija: im śmieiej strona polska żąda „egzekucji“ zapowiedzianego praojcom wcielenia, tem uporczywiej litewscy Radziwiłłowie bronią samoistości drugiej połowy jagiellońskich dzierżaw,

Król „nie wieździe nikogo do niewoli, ale do większej wolności i swobody... spólnej braterskiej zgody a miłości obojga państwa zarówno“. Chodzi tylko o formę ustrojową owej zgody, o wyszukanie konkretnej wypadkowej między formułą mielnicką Aleksandra: „jedno nierozdzielne i nieróżne ciało,... jeden lud, jeden naród, jedno braterstwo i wspólne obrady pod jednym królem i panem“, — a zasadą Radziwiłłów: wspólna elekcja, wspólna obrona i wspólne nad temi sprawami obrady. Strona polska cytuje pergamin (mianowicie horodelski); strona litewska próbuje też „potrzęsać“ przywilejem (mielnickim), ale zmiarkowawszy, że w nim także jest mowa o inkorporacji, woli lekceważyć pergamin a natomiast akcentować miłość i „chęć“ wzajemną. W początkowych stadjach rokowań po stronie litewskiej nieprzyjaciele Radziwiłłów na Litwie próbują paraliżować ich opór przeciwko unji, zato przyjaciel koronny Tarnowski odradza zbyt natarczywą taktykę, jaką zainaugurował był jeszcze na zjeździe w Brześciu szef delegacji polskiej Samuel Maciejowski. Wybuch wojny inflanckiej przyspiesza zbliżenie: dochodzą do głosu szerokie warstwy szlacheckie nietylko w Koronie ale i w Księstwie: jakby na spotkanie petycji mało- i wielkopolskiej wychodzi z Sejmu obozowego pod Witebskiem petycja rycerstwa litewskiego, której myśl ująć można w formule: społeczne ujednostajnienie bez zatarcia państwowej odrębności Litwy. Od chwili utraty Połocka sprawa wchodzi w stadjum decydujące i wnet wychodzi na jaw, że zarówno asymilacja, jak zjednoczenie muszą porobić dla dobra obu narodów znaczne postępy.

Znaczyło, to że Litwa upodobni się do Polski, i uzależni się od niej. Unję zbliża reformacja, do unji zmusza niebezpieczeństwo moskiewskie, do unji skłania względ na bezdzietność króla. Poza tem przecież tak Sejm koronny spragniony zupełnego wcielenia, jak król, który w imię jedności państwowej zrzekł się dziedzictwa tronu na Litwie, pojmują, że nie samą miłością, ale także urządzeniami i kulturą trzymają się państwa. Rozwój życia narodowego w Polsce asymiluje Litwę, planowa polityka unifikacyjna króla, wyrażająca się w reformie agrarnej („wołoczna pomiera“ 1557 r.), w zaprowadzeniu na Litwie sejmików (1565), oraz sądów ziemskich, grodzkich i podkomorskich (1565—6) umożliwiają ten rezultat, którego sama sztuka negocjatorów nigdy by nie osiągnęła. Oczywiście, niemało zawisło od tonu rozmów. Król upominał niezliczone razy koroniarzy i litwinów, by „w zgodzie i miłości rozmawiali“ (1563). Prof. Halecki może i słusznie powątpiewa, czy miała sens propozycja koroniarzy, aby Litwę odrazu nazwać „Nową Polską“, czy nie lepiej było działać „tylko z dobrej woli i z takiej samej chęci i miłości“. My ze swej strony możemy również spytać, czy Litwa zrzekłaby się osobnego Sejmu (1564), gdyby jej nie zmiękczone właśnie perspektywą zniesienia samego tytułu W. X. Litewskiego. Toczył się targ, więc wypadło zaczynać od *maximum*, a skończyć na *minimum*, i słusznie nasi Sienniccy, Szafranie, Ossoliński obstawali przy pergaminach, a całkiem nie w porę nasz Padniewski rezygnował ze wspólnego sejmu (1569). Dopiero też dzięki mocnej postawie koroniarzy mógł Zygmunt August odegrać rolę medjatora, i w tej to jego roli, w unikaniu twardych akcentów, w giętkiej i miękkiej taktyce, w wywoływaniu rzewnych nastrojów, a nie podjętej z góry koncepcji dualistycznej wyraziła się jego indywidualna zasługa, jego „idea jagiellońska“.

Prawda, że mądry król w prawdziwym formalnym testamencie błogosławił temu narodowi, który utrzymywać będzie unję, a groził przekleństwem Opatrz-

ności zrywaczom tejże; ale on przez unję rozumiał jeno zgodę i miłość, a nie lubelski pergamin, i zacieśnieniu unji wcale się nie sprzeciwiał. Prawda i to, że artykuł 19 aktu lubelskiego dosłownie chciał go uczynić nietykalnym nietylko dla jednej, ale nawet dla obu zgodnych stron, t.j. dla Polaków i Litwinów. Lecz takich niezmiennych ustrojów historia zna dużo, i życie nad ich niezmiennością przechodziło do porządku. Pod wielu względami już unja 1569 r. była przedwczesna, gdyż wyprzedzała ujednostajnienie kultury społecznej w państwie jagiellońskim, tego błędu należało się strzec, ale zapominać o pogłębieniu polskości na Litwie nie należało ani na chwilę.

Konkretny akt 1 lipca 1569 r. nie odpowiedział w całości ani pierwotnym dążeniom polskim ani litewskim; wprost wątpić można czy przed rokiem 1564 był polityk, któryby takie rozwiązanie: dwa państwa w jednej Rzplitej, związane wspólnością monarchy i sejmu, uważał za swoją „ideę“. Spotkano się bądź co bądź bliżej stanowiska polskiego niż litewskiego, i jakkolwiek unja lubelska powstała z rokowań (kompromis 30 marca), a przybrała w tekście nazwę „traktatów i umów“, naprawdę utworzyła jedną udzielną, nierozwiązalną Rzplitą. Unja osobista przeszła do archiwum, o federacji w znaczeniu nowoczesno-republikańskim nikt oczywiście nie myślał. Warto, bądź co bądź, podkreślić dwie charakterystyczne cechy aktu lubelskiego, z których jedna znamionuje metodę Zygmunta Augusta, druga odzwierciedla tymczasowość jego dzieła.

Król nie przeciwstawił się sentymentowi posłów koronnych, żądających wcielenia Litwy, względnie—jej poszczególnych dzielnic. Nietylko nie ofiarował Radziwiłłom „kantonu“ podolskiego, aby zań wytargować zgodę za unję, ale przeciwnie, przyłączył do Korony te „kantony“ polskie: Wołyń, Braclawszczyznę, Kijowszczyznę, w których widział dostateczny postęp polskiej kultury i polskiej idei państwowej. Tę lekcję realizmu niedostatecznie przerobili sobie następcy Jagiellonów. Z drugiej atoli strony, unja doszła do skutku poczęści dzięki słabości polskiej budowy parlamentarnej: posłowie litewscy i pruscy mogli spokojnie zasiąść obok małopolan, wielkopolan i mazurów, gdy wiedzieli, że nikt ich nie przegłosuje, że wspólny Sejm już wówczas niezdolny do przełamania woli jednego województwa, nie targnie się na wolę całej „prowincji“. Unja lubelska i *veto* znalazły się tu w niezaprzeczonem powinowactwie. Przyszłość miała dopiero okazać, czy unja zdoła współistnieć tylko z fatalną w Sejmie regułą jednomyślności, czy też wytrzyma także rządy większości.

Niestety, owa przyszłość okazała się mało twórczą i mało przewidującą. Potraktowano wyniki pracy Zygmunta Augusta tak, jakby się w nich zamknął testament polityczny „złotego wieku“: ani nie prowadzono dalej jego pracy w duchu zacieśnienia unji, ani nie podjęto wytrwałych wysiłków celem wzmocnienia wspólnego Sejmu. Że jednak historia nie stoi w miejscu, że każdy, kto nie idzie naprzód, musi się cofać, więc i ojczyzna nasza w czasach pojagiellońskich potoczyła się wstecz: prawnicy parlamentarzystów lubelskich doczekali się Sicińskiego i Janusza Radziwiłła, któremu za zerwanie unji stawiają pono dzisiaj Litwini pomnik w Kownie. Inni możnowładcy litewscy, Pacowie, Sapiehowie. Ogińscy, Pocięje, nie popadając w zdradę stanu, dojdą w polityce do skrajnego separatyzmu. I dopiero prawnicy tamtych prawników, za Stanisława Augusta, a przede wszystkim sam król, zrozumieją potrzebę dalszego jednoczenia Polski z Litwą. Pojawi się narreszcie—obok ciężko chorego Sejmu i słabej Rady Re-

zydentów (1576) wspólna władza wykonawcza dla obu narodów, Rada Nieustająca (1775), wspólne ministerjum oświaty (Komisja Edukacyjna 1773). Sejm Czteroletni da całemu państwu w systemie Konstytucji 3 maja—wspólny gabinet ministrów pod nazwą Straży oraz wspólne ministerja. Kościuszko też nie dopuści do tworzenia na Litwie osobnej Rady Najwyższej, każe jej być poprostu „Centralną Deputacją“, więc organem zależnym od Warszawy.

Omawiając te końcowe przeobrażenia, prof. St. Kutrzeba nazywa je poprostu zniesieniem unji. Tak też było w istocie: dawny dualizm zastąpiono jednolitą budową państwa, zachowując tylko pod tytułem „zaręczenia wzajemnego obojga narodów“ (październik 1791 r.) nazwę dwóch narodów, tudzież szczątki odrębności administracyjnej Księstwa. Litwa nie buntowała się, nie protestowała. Akt lubelski przestał obowiązywać. Obowiązywała nadal zupełna jedność. Czy stało się to naprzekór idei jagiellońskiej? Chyba w tem znaczeniu, że przez ideę jagiellońską rozumieć będziemy ideę Witolda i Radziwiłła Czarnego, a pod koniec dni Rzplitej—ideę targowiczian Massalskich i Kossakowskich. My jednak, wiedząc do czego dążył Zygmunt August razem z przywódcami Sejmu lubelskiego, i znając

metodę jego roboty, pozwolimy sobie uważać za lepszych wykonawców jego testamentu—Sejm Czteroletni i Kościuszkę.

*

W świetle powyższych wywodów t. zw. idea jagiellońska okazuje się abstrakcją późniejszych porobiorowych czasów, wysnutą z psychologicznej interpretacji bardzo rozmaitych zjawisk: złożyły się na nią rodzinne cechy Jagiellonów, polskie instynkty tolerancyjno-wolnościowe oraz różne konieczności i możliwości geograficzno-polityczne, od woli królów i mężów stanu niezawisłe. Były w tym splocie pierwiastki zdrowe, twórcze, obok innych wątpliwej wartości. Bądź, co bądź nawet to, co można wysnuć z faktów polityki jagiellońsko-polskiej, stanowi zjawisko jedyne w dziejach, bo ufundowane na wyjątkowej konjunkturze, gdzie nieokrzesany prostak Jagiełło zaślubia Jadwigę, poddaje się kierownictwu światłych polityków polskich—wnosi do wspólnego dorobku olbrzymi, słabo zaludniony, nisko kulturalny, a spragniony polskiej opieki przed Moskwą i Tatarami wschód. Takie konjunktury powtarzają się... może raz na tysiąc lat.

Kraków

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

O KRYTYCE NAUKOWEJ I PROFETYCZNEJ

Je devine enfin: vous voulez, Acis, me dire qu'il fait froid; que ne disiez vous: „Il fait froid“?

La Bruyère. Les Caractères, De la société et de la conversation.

W POLU krytyki literackiej dostrzegamy dwa odrębne, a często nienawistne sobie kierunki: jeden „naukowy“, badawczy, drugi propagandowy, entuzjastyczny, profetyczny. Pracowitość naukowców a temperament profetów sprawiają, że sami twórcy nie kwapią się do rozważań zasadniczych nad założeniami, celami i milcząco przyjmowanymi postulatami własnej działalności. Aby w tym kierunku myśl swoją poruszyć—trzeba zawiesić nałogi w pewien tryb włożonej energii, trzeba ujarzmić ferwor polemiczny—i wziąć na siebie rolę własnego sędziego.—Skoro sami twórcy tego nie czynią, lub czynią rzadko i przygodnie, przynagleni chyba natarciem przeciwników—warto ich w tem wyręczyć.

To, co mam zamiar poniżej wyłożyć, nie jest niczem więcej, jak skromnym bilansem obserwacji, które nasuwały mi się w trakcie czytania krytyków z obu obozów, obserwacji, których prostota jest niemal żenująca. Mimo to decyduję się na opublikowanie moich myśli, tłumacząc sobie, że nawet prawdy najprostrze, spostrzeżenia najelementarniejsze, mogą łatwo ominąć uwagę umysłów, zajętych sprawami o wiele ważniejszymi, niż kwestja jaki procent zdrowego rozsądku mieści się w dziełach, które bądź splendorem erudycji, bądź wysokością polotu i rozmachem gestu zdobyły już sobie liczne zastępy sumiennych entuzjastów.

Trudnoby o mniej kosztowną i bardziej barbarzyńską ironję, niż ta, którą zabawiają się różni krytycy krytyków, z wyniosłym obrzydzeniem mówiący o „drobiazgowości“ i tak zwanej „pedanterji naukowej“ badaczy, mających w poszanowaniu ścisłość, liczących się z datą i dokumentem. Każda praca, wzbogacająca naszą wiedzę o pisarzu, który w świadomości narodu zajął miejsce trwałe i znaczące, każda zdobycz biografii i bibliografii, choćby dotyczyła rachunków domowych czy na odczepne rzuconego artykułiku dzien-

nikarskiego—są wartościowe i żadna „szerokość poglądów“ nie zastąpi faktu, który o ile jest ściśle ustalony, a dotyczy osobistości literackiej, choćby był drobny, może stać się źródłem nieobliczalnych konsekwencji twórczych.

Nikomu nie przyjdzie na myśl kwestjonować konieczności zajęcia się szczegółami z życia Napoleona czy Sobieskiego przez autora, który ma zamiar pisać powieść z epoki jednego z tych panujących—sytuacja staje się dopiero „zabawna“, gdy przedmiotem zainteresowania jest życie poety, tak zupełnie, jak gdyby nie mogło się ono stać nigdy w przyszłości tematem innej twórczości, niż przyczynkowo archiwalnej. Krytyka naukowa, dopóki ustala fakty, obala fałszywe opinie o życiu i zewnętrznych kolejach twórczości pisarza, o ile słowem, praca jej przyczynia się do utrwalenia wiernego obrazu zewnętrznego przebiegu dziejów danej osobistości literackiej—dopóty zajmuje pozycję mocną i szanowaną, zaś ataki jej przeciwników, którzy w większości wypadków nie umieliby się zdobyć na tę wysoką kulturę nerwów, która jest nieodzownym warunkiem pracy naukowej—kompromituje raczej atakujących, twierdzy krytyki naukowej zgoła nie naruszając.

Pozycja tej dyscypliny staje się natomiast nierównie słabsza, gdy opuszczając teren faktu zewnętrznego—zwraca się do faktu wewnętrznego. A faktem wewnętrznym jest, w odróżnieniu do kolei życiowych pisarza—jego twórczość.

Historja literatury jest z jednej strony zbiorem faktów zewnętrznych, dostępnych każdemu człowiekowi, a na których opanowanie trzeba tylko dobrej pamięci i systematyczności—z drugiej jest olbrzymim kompleksem procesów wysokiego gatunku, do których dostępu nie toruje zwykła „dobra pamięć“ i porządek w myśleniu, lecz zdolność eksperymentowania psychologicznego—a to są rzeczy zupełnie różne. Dlatego to tak często się zdarza, że „naukowi“ badacze literatury nie mieli nigdy z nią do czynienia, tylko z jej widomymi materialnymi śladami.

Tu przychodzi nieszczęsna kwestja „wpływu“. Jest to zagadnienie bardzo obszerne i w naszej literaturze, jeśli abstrahować od doskonałego studjum W. Borowego, niemal zupełnie zaniedbane. — Wiele jest aspektów tej kwestji, w wielu kierunkach mogą tu iść rozważania. Ale z poza tej sieci możliwości przegląda problemat zasadniczy: jakiego rodzaju fakt ma się na myśli, mówiąc, że w danym wypadku zaszedł „wpływ literacki“. Jest to sprawa zasadnicza. — Sądząc z prac, które kwestją „wpływów“ ze szczególną zajmują się gorliwością — zagadnienie sprowadza się ostatecznie do sprawy stwierdzenia podobieństw zewnętrznych między dwoma utworami pisarskimi. Krytycy zajmują się bowiem zbieżnościami w fabule, w wyraźnych sformułowaniach ideologicznych. To na szczeblu niższym tego rodzaju krytyki. Inteligencja, a zwłaszcza erudycja badacza może sprawę nie słychanie urozmaicić i skomplikować; podobieństwa wykrywane mogą być bardzo odległe, z sukursem przyjdą żmudne dociekania językowe, badanie analogij w konstrukcji zdania, wiersza i t. p. — nie mniej obracamy się ciągle w sferze porównań między elementami formalnymi dzieł pisarskich. Powiedzą krytycy: znalezione podobieństwa w zestawieniu z innymi danymi (np. wiadomościami o lekturze, którą pisarz odbył, jego znajomościach osobistych i t. p.) upoważniają nas do uznania owych podobieństw nie za przypadkowe, lecz za spowodowane działaniem określonego zewnętrznego czynnika i do wywnioskowania stąd, że mamy do czynienia z istotnym wpływem. — Ale nie zapomnijmy o tem nigdy, wpływ w tym porządku rozważań jest faktem psychologicznym (boć nie chodzi tu przecie krytykowi o jakieś pokrewieństwa sensów w znaczeniu Husserla), a jeśli tak, to stwierdzenie, że wpływ zaszedł, jest zapoczątkowaniem badania, a nie jego zakończeniem. Wpływologia zdobyłaby mocną pozycję dopiero wówczas, kiedy stanęłaby otwarcie na gruncie psychologicznym i kiedy punkt ciężkości swych zadań przeniosłaby na odtworzenie przebiegów psychicznych, związanych z asymilowaniem przez umysł z zewnątrz poddanych treści i przerabianiem ich na dorobek własny. Nie wiem ilu z naszych krytyków naukowych mogłoby się tej pracy podjąć. — Aby ją wykonać trzeba by, korzystając z ogromnego bogactwa wiadomości o autorze, olbrzymiej erudycji i niepospolitej intuicji psychologicznej, przenieść się myślą w pewien okres życia pisarza i starać się odtworzyć w barwach lokalnych dramat twórczości zmagającej się z naciskiem z zewnątrz pochodzącym i ulegającej temu naciskowi. Dużą rolę w dociekaniach tego rodzaju odegrałoby badanie nad typem wyobraźni pisarza, modyfikacjami tego typu przez skrzyżowanie się z typem odmiennym, analiza psychologiczna języka i t. p. Jeśli krytyka drogą tych badań nie idzie, to pozostanie wiecznie przy swoich nic nie mówiących i nikomu nie potrzebnych stwierdzeniach „wpływów“ t. j. faktów psychologicznych z założenia, rozważanych jednak poza wszelkim związkiem z psychologią. Niewątpliwie, wybitniejsi wpływologowie wkraczają w dziedzinę dociekań psychologicznych, ale czynią to raczej wyjątkowo, bez wyraźnego poczucia, że tu jest właściwa dziedzina ich pracy, a i tego rodzaju przypadkowe ekskursje nie są częste.

Krytyka naukowa dba o ścisłość, to znaczy stawia sobie jako cel najbliższy bezstronne przedstawienie poglądów i metod pracy badanego twórcy. A jeśli chodzi o ustalenie poglądów — to, rozumuje krytyk naukowy, cóż niezawodniej prowadzi do tego celu, jeśli nie pilne badanie tekstu. Pogląd ten jest skró-

tem następującego rozumowania: pisze się po to, aby wyrazić to, co się myśli i co się czuje; chcąc się dowiedzieć, co autor myśli i jak czuje, trzeba czytać jego dzieła — tam to jest zapisane. Jest to nadmierne uproszczanie sobie pracy: to, co uchodzi za program „oficjalny“ danego pisarza jest często bardzo dorywczem jedynie wyolbrzymieniem i uogólnieniem jakiejś obserwacji czy nastroju, które w danej chwili zajęły całe pole myślowe — moc tu miejsca na suggestję i t. zw. „szukanie siebie“, z którym to nałogiem winien liczyć się szczególnie krytyk, piszący o twórczości współczesnych autorów, uważających często owo „szukanie“ w jego właśnie nieokreśloności i kapryśności za jedynie godne i „ciekawe“ stanowisko. Jeśli zamiast iść śladem tych wszystkich krętych dróg — wybiera się cytaty, porządkuje je wedle treści i interpretuje wedle najlepszego choćby leksykonu — otrzymuje się w rezultacie etymologiczny obraz sensów, wybranych z tekstu pisarskiego, a bynajmniej nie pokrywający się z obrazem psychologicznym ani ideologicznym, który się miało zbadać. — Nawet pisarze najbardziej dojrzały nie wytrzymają tych barbarzyńskich manier krytyków i wychodzą z kuchmistrzowskiego tygla jako maskary, wyzute zupełnie z podobieństwa do żywych oryginałów; nawet tam, gdzie słowo nie wyprzedza inie przekracza myśli, gdzie sprzęgło się z nią organicznie — nie wystarcza znajomość leksykonu do myślowego opanowania rzeczywistości artystycznej, przez pisarza stworzonej. Wchodzi tu bowiem w grę sprawa nadawania nowego życia słowu, które posiada tajemniczą moc odradzania się w ręku artysty, którego znaczenie indywidualne, co w nie tchnął pisarz, będzie zamknięte przed każdym, kto nie odbędzie wspólnej z twórcą drogi krętymi szlakami jego myśli. — Dzieje się też nierzadko tak, że tam gdzie autor przemawia najbardziej *ex cathedra*, gdzie najdobitniej formułuje swoje *credo*, tam właśnie jest najmniej sobą — fizjognomji jego trzeba szukać między wierszami, trzeba ją wykładać retoryce i frazesowi. Ale na to trzeba się oderwać od tekstu, trzeba mieć swobodę ruchów wśród spięrzeń wiatowanych straszdeł, trochę klinicznego oka, pomysłowości, domysłowości. Aby zorjentować się w tym lesie zagadek, którym jest każda twórczość, wysledzić wszystkie podstępny człowieka, walczącego o światopogląd, na to nie wystarcza rozumieć znaczenie poszczególnych wyrazów i zdań. Przykład Żeromskiego, który nigdy nie wiedział, jaki jest jego istotny stosunek do rzeczy o których pisze, którego cała struktura myślowa wisiała zawsze na włosku, wiecznie zależna od ostatniej przeczytanej książki, rozmowy z przyjacielem, jakiegoś sentymentalnego kaprysu, tego Żeromskiego, z którego robi się bez ceremonji herolda mocy polskiej — powinien być dla krytyki groźbą i ostrzeżeniem wiecznie żywym. Znakomita praca Wasilewskiego*) dostarcza w tej materji wielu pierwszorzędnych dowodów biograficznych. Równie łatwo możnaby z melancholijnego panicza, którym do końca życia pozostał Bararès, zrobić francuskiego Mussoliniego. Nie wątpię, że usłudni adoratorzy pisarza nie omieszkają tego uczynić.

Cytata jest bronią zwodniczą, jeśli nawet wyłączyć złą wolę cytującego, wyrażającą się w tendencyjnym ucinaniu cytata, wrywaniu ich z kontekstu i t. p. Cytata sama przez się nie jest argumentem, jest zaledwie punktem wyjścia do rozważań. Ale, zapyta krytyk naukowy, jeśli cytata jest złą metodą, czemuż ją zastą-

*) Z Wasilewski. Wspomnienia o Janie Kasproviczu i Stefanie Żeromskim.

pić? Tysiącem innych sposobów, z których każdy stosuje się do innego wypadku i których katalogu nikt nie spisał. Tak samo jak sędzia śledczy używa tysiąca sposobów do wykrycia prawdy, zależnie od szczególnych okoliczności sprawy — tak samo krytyk ma tu broń jedyną w pomysłowości i giętkości umysłu, który z równą łatwością obraca się w różnych sferach rzeczywistości. Krytyk wtedy właśnie dobrze spełnia swe zadanie, kiedy rozporządza bogatą skalą środków inwestygacyjnych i stosuje je trafnie. Jedyńą jego metodą jest przystosowanie właściwych środków badania do wypadku szczególnego.

Niewątpliwie wyrażony tu pogląd narażony jest na zarzuty pozornie bardzo efektowne.

Jeśli mamy ustalać poglądy pisarza nie na mocy tekstu, lecz jakichś innych środków zgóry nie przewidzianych, różnych w zależności od wypadków poszczególnych, powie krytyk naukowy, to otwieramy tu pole tak wielkiej dowolności, tak bardzo uzależniamy krytykę od sympatyj i antypatyj piszącego, od jego przekonań, upodobań, zawiści osobistych i humorów — że krytyka taką prowadzona metodą traci wszelką cechę obiektywności, to jest przestaje być krytyką, a staje się improwizacją na temat literatury. Nie będąc skrupowani zależnością zewnętrzną, którą stanowi tekst, zawsze możemy tak zgrupować fakty, tak zestawić dane, że otrzymamy w rezultacie tę charakterystykę, która najbardziej dogadza naszemu stosunkowi osobistemu do pisarza, a nie tę, która jest odbiciem prawdy. Typowa obawa człowieka, pozbawionego nerwu psychologicznego. Każdy, kto jest choć trochę obserwatorem, kto odczuwa potrzebę badania duszy ludzkiej w jej głębokich przejawach — wie doskonale, że obserwacja psychologiczna ma swoją ścisłość, inaczej ta ścisłość wygląda, niż ścisłość matematyczna lub buchalteryjna, to prawda — ale jest. Skrzywić bezkarnie koncepcji psychologicznej tak samo niepodobna, jak niepodobna omylić się w kalkulacji matematycznej bez widocznego śladu w rezultacie wyводу. Fałszerstwo psychologiczne daje o sobie znać głosem bardzo mocnym i nie dopuści nigdy do spokojnego zamknięcia salda, zawsze „bokiem wylezie“, manifestując się czy to w załamaniu, czy w mglistości i wieloznaczności zarysowującego się obrazu. Oczywiście, aby dostrzec te sygnały, ostrzegające przed niebezpieczeństwem, trzeba znać ich język i rozumieć, co mówią. Tekstomanja nigdy ich nie zauważy.

Jeśli nawet założyć, że na gruncie krytyki psychologicznej mogą zachodzić oszukaństwa — to jednak przyznać trzeba, że pojawienie się ich jest *a fortiori* możliwe w krytyce walczącej cytatai, przedewszystkiem dlatego, że tą drugą metodą łatwiej jest oszukiwać — wystarczy na to umieć czytać i znać słownikowo ustalone znaczenie słów. Nieufność do metody psychologicznej w krytyce podsycana jest przez ludzi, którzy nie mając zmysłu psychologicznego, wyobrażają sobie, że wytłumaczyć psychologicznie twórczość pisarską jest rzeczą równie łatwą, jak dowolną. Nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele doświadczenia i wiedzy trzeba zmobilizować, aby zbudować jakąkolwiek konstrukcję psychologiczną, nie wiedzą, jak bardzo upomina się o swoje krzywdy każda konstrukcja niedbała czy choćby podświadomie tendencyjna. Krytykowi, byle uczciwemu, nie da ona nigdy spokoju.

*

Ważną zasługą krytyki, którą nazwałem profetyczną, jest to, że zrehabilitowała ona zagrzebany pod

uczoną bibułą i tłumiony jako „dyletancki“ i „nie-naukowy“ — naiwny stosunek krytyka do dzieła. Dzieło pisarskie stało się znowu czemś prawdziwym lub fałszywym, pięknym lub brzydkim, ciekawym lub nudnym, pożytecznym lub szkodliwym. Jest to stosunek do dzieła, który obowiązuje wszystkich ludzi żywych, który umożliwia wogóle fakt twórczości i odbiorczości artystycznej. Ujęcie „czysto historyczne“, które w najlepszych wypadkach sprowadza się (psychologicznie) do satysfakcji estetycznego przetrwania rzeczy ubiegłych z sekretną a głęboką satysfakcją, która daje poczucie dystansu i nieaktualności — w gorszych (najczęstszych) sprowadza się do wyładowania ruchowej energii mózgu, nawykłego do ustawicznego przerzucania pojęć, nałogu niewiele szlachetniejszego, niż np. nałóg palenia tytoniu. Otóż krytyka profetyczna jest przeciw temu reakcją.

Szukając w literaturze przedewszystkiem prawd życiowych i postaw wobec rzeczywistości aktualnej, szukając ich nie z ciekawości kolekcjonera, lecz z temperamentu bojownika, widząc w nich nie materiał do rejestracji, lecz zarys czynu, zamierzenia, na które trzeba odpowiedzieć, bądź dobytciem broni, bądź podaniem ręki, tem samem występuje sama pod sztandarem jakiejś określonej koncepcji życiowej. A z tą koncepcją życiową naszych krytyko-proroków nie jest dobrze. Zwraca już uwagę i wzbudza podejrliwość fakt, że krytyka profetyczna na kamieniu się u nas rodzi. Produkcja jej jest masowa. To się już u nas „robi“, są już sposoby (nietrudne) zostania proroko-krytykiem. Historycznie najbliższym impulsem tego ruchu była twórczość Stanisława Brzozowskiego. Niezmiernie bogata indywidualność tego pisarza rzuciła masę myśli, zaprojektowała ogromną ilość postaw mniej lub więcej wykończonych; nasi prorocy z tego bogatego spadku wybrali sobie parę kawałków, które zawzięcie obrabiają i wcale umiejętnie nauczyli się już improwizować *à la* Brzozowski. Upodobali sobie zwłaszcza trzy motywy: patetycznego piękna pracy fizycznej, „odpowiedzialności“ jednostki ludzkiej za rzeczywistość społeczną, której jest współtwórczynią, i motyw „zakłamania“ tych wszystkich dziedzin życia, które stoją poza światem pracy. Wiemy dobrze, że u samego Brzozowskiego cały system jego myśli, osnuty na tych motywach, tworzył się w ścisłym związku z ruchem społeczno-filozoficznym, którego głównymi ośrodkami byli Sorel, Bergson, James, że dzieło kardynała Newmana odegrało wielką rolę w rozwoju myśli Brzozowskiego. Ale jakąż przepaść dzieli to niezmiernie głębokie, kosztowne i aż bolesne w swojej intensywności wżeranie się myślą we współczesną filozofję, przerabianie jej na swój dorobek, jak to obserwujemy u Brzozowskiego — z kokieterją profetyczną dzisiejszych krytyków, którzy oryginalność myśli Brzozowskiego, oryginalność niewątpliwą, mimo zależności od cudzych myśli — przerobili na kieszonkowy kodeksik, z którego czerpią gotowe wzory na „głębie“, „witalność“ i „swoistość“. Zabawne jest zwłaszcza to ciągłe tropienie „zakłamania“ wszędzie tam, gdzie tylko ich niema. Jest to z drugiej strony zrozumiałe: ktoś, kto tak odważnie mówi o kłamstwie, i wszędzie je węszy — wydaje sobie świadectwo szczerości! Walka o szczerość jest rysem charakterystycznym krytyki profetycznej. Ale każda programowa walka o szczerość kończy się niepowodzeniem. I nie może być inaczej: szczerość nie jest żadnym celem konkretnym, jest pewnym stałym stosunkiem człowieka do rzeczywistości; zdobyć ten stosunek można jedynie drogą wewnętrznego eksperymentu, w czterech ścianach własnej duszy — wszelka twórczość może być owocem tej szczerości,

a nigdy jej przyczyną. W rezultacie zapisują ludzie całe szpalty temi przykreimi zdaniem, z poza których wyziera zmęczenie wiecznie wykrygowanej i na szczudłach fałszywego patosu spacerującej krytyki, i stajemy wobec ogromu tych zdanek, które jednocześnie wzbudzają litość i obrzydzenie, zdanek, które choć wychodzą z pod pióra żyjącego człowieka, nie należą do nikogo („*res nullius*“ w dziedzinie literatury). Masę obietnic, anemiczny rysunek myśli, która szuka jakiejś drogi—w rezultacie nudne i bardzo nadejęte nieporozumienie. Wszystkie „ostatnie wielkie sam na sam z sobą, które trzeba przewyciężyć aby móc żyć“, te „ostatnie strachy“ i „okrutne samości“, przykre eksperymenty krytyki profetycznej „zawdzięczamy“ temu prawu, że niema takiej dziedziny, której nie możnaby zbanalizować — Brzozowski może być tak samo dobrze użyty za szablon, jak cokolwiek innego. Wpadając w szablon, wytworzony na podłożu cudzej oryginalności — nie stajemy się przez to sami oryginalnymi... O oryginalności stanowi świeżość

widzenia rzeczy, jej warunkiem psychologicznym jest ciągle odnawiany wysiłek, zmierzający ku zachowaniu niezależności i intensywności wzroku wewnętrznego, ku wynalezieniu tego punktu z niezliczonej ilości innych, z którego, jak powiedziałyby Barrès, ukazują się rzeczy w bogactwie swoich proporcji.

Aby określić pozycję życiową jakiejś konkretnej twórczości pisarskiej — trzeba zbadać jej mechanizm wewnętrzny. Zadania tego nie spełnia krytyka, uchodząca za naukową, która nam daje pracowicie komentowane wypisy — nie spełnia go jednak również krytyka profetyczna, ulegająca złudzeniu, że parę chwytów pseudo-filozoficznych, puszczonej mniej lub bardziej zręcznie w grę, zastąpić może mozolną pracę przenikania do wnętrza dzieł umysłu i serca ludzkiego.

Tej pracy nie zastąpi żaden manewr dyplomacji pisarskiej, żaden eksperyment stylistyczny, żaden talent aktorski — no i żadna niejasność...

Poznań

JAN EMIL SKIWSKI

NIEBIESKI GOŚĆ

(FRAGMENTY Z POEMATU O CHRYSZTUSIE)

I

Niektórych naszych grzechów silniej nienawidził — niektóre nasze cnoty serdeczniej miłował.
Miana tych pierwszych mówił — jakby ich się brzydził,
miana tych drugich — jakby je słowem całował.

Mówiąc: „Falsz“ — usta święte z takim obrzydzeniem otwierał, jak chcąc wypluć ohydny gada:
przymrużał oczy, jakby drżał, że z wymówieniem tego słowa — zmierzch ciężki na słońce zapada...

A mówiąc: „Pycha“ — wyraz, co jest najdosłowniej imieniem czarta, całym z dymu i z płomienia,
parzył się, jakby usta przytknąwszy do głowni:
potem powietrze chwycił, jak dla ochłodzenia.

Za to mówiąc: „Pokora“, to anielskie słowo,
ręce w przestrzeń wyciągał, jakgdyby do Matki:
łyzy Mu w oczach stawały, lśniły brylantowo,
wargi miękkie — jak miękną, pieszcząc róży płatki.

A mówiąc: „Przebaczenie“ — słowo Przebaczenie,
które nad wszystko kochał — cały się przemieniał:
...drżał, jakgdyby u ramion czuł Skrzydeł Szumienie,
...jak światłem przez szkło — Bogiem Przez Ciało Promieniał!...

II

Największym Twórcą nie był — za wieków mgławicą,
tworząc ziemię i niebiosy wysokie sklepienie,
ale na świecie, płaską przechodząc ulicą,
kiedy stwarzał przedziwny swój cud: Rozgrzeszenie.

Bo czym jest obłąkany wiatr, wiatr szaropióry,
rozbierający ziemię, drąc na niej szat puchy —
wobec tej Nieprzytomnej Mistycznej Wichury,
co grzech z duszy obrywa, jak z drzewa liść suchy?

Bo czym jest ogień, który krwią żywą się pieni
i krwawym zębem wszystko rozgryza namiętnie —
wobec tych Bezbolesnych A Wściekłych Płomieni,
które mogą trąć z serca wypalić doszczętnie?

Bo czym są hałaśliwe, chciwe wodospady,
strugi dżdżu, co świat z barwy wywabiają wszędzie —
wobec tej Najsoczystszej Choć Cichej Kaskady,
co krew zbrodniarzom zmyje, że — śladu nie będzie?

III

Biednym: tym, których Życie w atlasy nie stroi
i dla których Śmierć chyba potrafi być szczerą —
szły ubiory Z Królewskiej Barwnej Mowy Swojej,
które najdrapieżniejsze wichury nie podrą...

Chorym: tym, którym ludzie podają ręk końce,
a ust swych może wzbronąć są nawet gotowi —
zapalał nad skroniami Ogromne Łask Słońce,
w którego białym blasku — w cień kryli się zdrowi...

Prostym: tym, którzy nawet wymówić nie mogą
imienia ciężkich, twardych, sztywnych Akademij —
okrywał pierś Szkarłatną Przyjaźni Swej Togą,
aż się musieli mędracy oglądać za nimi...

Smutnym: tym, którym losy z pasją jakąś dziką
czarną nie wciąż motają na doli ich krosna —
napęlił słuch Obietnic Swych Rajska Muzyką,
aby do nich uśmiechnąć się mogli, jak wiosna...

IV

Lecz Niewinnej Radości nigdy nie odegnał,
gdy z rozwichrzonym włosom, z umajonem czołem,
przybiegała do Niego, prosząc by przeżegnał. — —
Zasiadał nawet czasem, czasem za jej stołem.

Biesiadnicy, jak kwiaty posplatane gęsto,
wieńczyli biel obrusów wieńcem kolorowym:
głosy ich, nakształt ptaków, przefruwały często
nad stołem — walcząc z sobą w zgiełku coraz nowym!..

Szczał kielich o kielich, wydając dźwięk wielki,
dźwięk czysty, dźwięk srebrzysty — krzykom na ochotę,
aż po śniegach obrusa — jak słońca kropelki
biegły kropelki wina — pachnące i złote.

Raz po raz powiał wicher śmiechu, śmiechu, śmiechu:
wstrząsnął koroną kwiatu lub płomieniem świecy —
raz po raz szeptał sąsiada — cichszy od oddechu —
odchylił z młodych zębów pons wargi kobiecej...

...On ucztował. Jak wszyscy. Jakby mogła zasnąć
na chwilę Jego Wielkość, gdy w zgiełk się zanurzy.
Tylko gdzie spojrzal — światła przestawały gasnąć
i odkwitła świeżość podeptanej róży.

ANNA SŁONCZYŃSKA

LIBERUM VETO

Ci sami w innym przebraniu. — Przesunięcie się oszczędności-Zabiedzona astronomja i utuczone fundusze dyspozycyjne. — Łowy w mętnej wodzie. — Kolumna zuchwałych miernot.

WCZASACH, kiedy rewolucjoniści byli kolumnami ataków a konserwatyści załogami twierdz władzy, zachodziła między nimi głęboka różnica nie tylko co do celów, ale również co do środków i sposobów postępowania. Pierwsi zarzucali drugim samowolę, bezprawie, gwałcenie swobód obywatelskich, wyzyskiwanie społeczeństwa nadmiernymi podatkami, marnotrawstwo skarbu publicznego, faworytyzm, bezkarne zbrodnie, tajemne tępienie przeciwników i inne niegodziwości, jakoby ściśle związane z rządami konserwatywnego despotyzmu a zupełnie obce i szczególnie nienawistne apostołom i rycerzom wolności. Obecnie ta różnica zupełnie zniknęła. Te same a niekiedy gorsze środki i metody działania widzimy po stronie „lewej“, po tej, która głosiła się najzapamiętałą ich mścicielką. Wszystkie okrucieństwa Iwana Groźnego są skromnymi wybrykami wobec zezwierżenia oprawców bolszewickich, którzy mianują się pogromcami koronowanych tyranów. Mniej jaskrawy przerzut rozbestwienia i gwałtów widzimy w społeczeństwach o wyższej kulturze, ale wszędzie on się dokonał tak dalece, że ludziom istotnie miłym prawości czynów nie pozostaje nic innego, jak stać na boku i przypatrywać się walce dwu złych sił, nie biorąc w niej żadnego udziału i czekać chwili, kiedy one wzajemnie się zniszczą, kiedy z zamąconego i błotnistego życia wydobędzie się jego nurt czysty. Nastąpi to zaś dopiero wtedy, kiedy ludzie przestaną walczyć o władzę, która jest dziś głównym celem i naczelnym hasłem wszystkich bojów polityczno-społecznych, a zaczną walczyć o ideały, o szlachetność pobudek i czynów. Do tego jednak daleko, bardzo daleko.

Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz w sejmie toczy się spór między stronnictwami zachowawczymi a radykalnymi o budżet. Pierwsze chciałyby posunąć oszczędność, a drugie rozrzutność do najdalszych granic. Jest to widok bardzo ciekawy i charakterystyczny. Zdawałoby się że obrońcy „starego porządku“, potrzebujący pieniędzy na rozmaite, tradycyjnie z nim związane cele zbyt skąpe i marnotrawcze, powinny być przeciwnikami oszczędności, natomiast rycerze „nowego porządku“, wiedzący i głośno wykrzykujący, że skarb publiczny zasila się przeważnie ofiarami mas pracujących, powinny zalecać skąpstwo i przyznawać rządowi tylko tyle, ile wymagają jego konieczne potrzeby. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: tam wstrzeźliwość, tu rozrzutność. Gdy rząd radykalno-republikański podnosi budżet w wydatkach o setki milionów złotych, gdy na fundusze dyspozycyjne, na uposażenia osobiste, na pokrycie kosztów fantastycznego przenoszenia urzędników i oficerów z dotychczasowych miejsc w odległe okolice, na podróże, zasiłki, dary, gratyfikacje żądane są olbrzymie sumy, przyznają je, a nawet podwyższają patronowie „krwawej pracy ludu“. Potępione i napiętnowane hańbą dawne rabunki skarbu publicznego przez nieograniczone i niekontrolowane rządy samowładnych monarchów i ministrów, utrzymały się w demokratycznej republice z bardzo małą zmianą swych nazw, dróg i celów. W zbyt kującej orgji radykalizmu, w jego łupieżczym szale zaledwie dosłyszeć można żalosne głosy potrzeb kulturalnych. Fundusz dyspozycyjny

jakiegoś ministra ma pretensje do kilku milionów złotych, a jednocześnie brak 20,000 złotych na kupno niezbędnego przyrządu astronomicznego dla obserwatorium w stolicy. Za czasów niewoli, kiedy rząd rosyjski nie dbał o naukę polską a nawet ją tłumiał, zrozumiałym był skromny lekarz Jędrzejewicz, który własnym kosztem urządził obserwatorium w Płońsku, zaopatrzony w teleskopy i spektroskopy. Zdawałoby się, że w niepodległej Polsce takie ofiary będą już zbyt duże, że państwo stworzy przynajmniej jedną hojnie uposażoną instytucję pierwszorzędnej wagi. Tymczasem ona znowu czekać musi na Jędrzejewiczów. Bardzo nam o to chodzi i na to nie żałujemy pieniędzy, ażeby nasi piłkarze, bramkarze, narciarze, „ekipiarze“ odznaczyli się w grach, skokach i wyścigach międzynarodowych, ale że astronomowie warszawscy na poddaszu pustego i martwego gmachu przy Ogrodzie Botanicznym wpatrują się w niebo przez lornetki teatralne lub przez trąbki zwiniętej ręki — to nas nie martwi i nie wstydi. Rzuciliśmy w błoto agitacji wyborczej tyle pieniędzy, że za nie możnaby sprawić dla obserwatorium teleskopy o półmetrowej średnicy soczewek — i jaki z tego pożytek? Dziwaczny i bezpłodny sejm ze sztucznym kręgosłupem. Niemcy wydali na ostatnie wybory 24 miliony marek — pociesza nieuleczalny manjak optymizmu. Ale ci Niemcy mają wspaniałe obserwatoria i wszystkie instytucje naukowe bogato uposażone. Oni również tracą ogromne sumy na ten jeden z najgłupszych celów — na wydobycie „woli narodu“ zapomocą kłamstwa, oszustwa i przekupstwa, ale czynią to przynajmniej z pieniędzy zbywających od zaspokożenia najważniejszych potrzeb społecznych. Roi się w Europie od rozmaitych sportowców polskich, a prasa utrzymuje w natężeniu uwagę inteligentnego ogółu, śledzącego z niepokojem popisy naszych rąk i nóg na turniejach międzynarodowych, nasze zaś głowy są o tyle tylko przedmiotem publicznego zajęcia, o ile służą do odbijania piłki nożnej. To też gdy gdziekolwiek, chociażby na drugiej półkuli ziemi, odbywa się zlot sokołów sportu, pędzą z Polski liczne stada, ale gdy odbywa się zlot orłów nauki, nie wyfruwa od nas żaden, albo oskubani i zbiedzeni, budzący zwykle litość a rzadko podziw. Bo chodzimy po globie głowami na dół. Dawno już poeta radził:

Śpij sobie duszo, co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata?

Główna rzecz: wygrywać „mecze“, zdobywać „bramki“, kłaść atletów „na obie łopatki“, przeskakować na koniach wysokie przeszkody, a jeżeli tam niekiedy zdarzy się w przestworzach nieba jakiś niespodziewany „incydent“ lub „konflikt“, to nie potrzebujemy się w to wtrącać, bo inni astronomowie łatwo go „zlikwidują“.

Słyszymy od tylu lat, ile istnieje niepodległa Polska, że znajdujemy się w okresie „przejściowym“, że jutro, pojutrze, najpóźniej za miesiąc lub rok nastąpi ustalenie się życia państwowego i społecznego. Powtarzały tę śpiewkę wszystkie ministerja a najgłośniej wykrzykiwali ją aż do ochrypnięcia sprawcy i zwolennicy zamachu majowego. Z tych wszystkich zapowiedzi a najsromotniej z ostatniej zrobiły się mydliny. Mamy znowu zamęt i to gorszy, niż którykolwiek z poprzednich. Jednym z najszkodliwszych produktów takiego stanu jest mnożący się i coraz zuchwalszy gatunek łowców w mętnej wodzie. Są to ludzie szerokiej gęby, przebijający swój nagi, bezwstydnym i żarłocznym interes w pozory dbałości o do-

bro całego narodu lub jakiejś jego warstwy, wytwarzający licytacje kłamliwych hasel i giełdę fałszowanych akcyj szczęścia powszechnego, sztucznie podbijanych w kursie i obliczonych na łatwowierność tłumu. Przysłuchując się ryk potężnej siły, szerzącej ślepię i niszczącą burzę, ale daleko wstrętniej słysząc wrzaski bezczelnej miernoty, korzystającej z ogólnej niemocy i apatji, z braku kielznającej ją potęgi. Przypatrzmy się uważnie, jacy to rycerze sięgają obecnie po buławę hetmańską, jacy to wodzireje wdziewiają togi trybunów ludu, jacy to pokątni doradcy występują w roli prawodawców. Całą tę czeredę należałoby zgarnąć i zapędzić do tłuczenia i sypania kamieni na drogi bite. Biedna Polska niepodległa mniej ma trudu z pokonaniem zewnętrznych wrogów, niż z otrząśnięciem domowego robactwa, które ją oblażyło i żyje na jej ciele. Nie przyjdzie jej to łatwo, bo jest łagodna i cierpliwa, bo umie przez długie lata znosić dokuczliwości pasorzytów. Kiedyś p. Piłsudski miał się wyrazić, że go „oblażył wszy”. Te wszy wcale nie zmniejszyły się ani w liczbie, ani w żarłoczności, przeciwnie rozmnożyły się niepomiernie i teraz wysypują się jako naczelną kolumną.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

G Ł O S Y

TWÓRCZOŚĆ MŁODYCH

W OSTATNIM numerze „Tęczy” znajdujemy interesujący artykuł p. Ryszarda Piestrzyńskiego p. t. „Młodzi”.

Autor stwierdza fakt, że „żyjemy w wieku młodzieży”, powołując się na opinię lorda Greya i ambasadora Juljusza Cambona, oraz dorzucając garść własnych spostrzeżeń. Mówiąc o przyczynach wzrastania roli młodych żywiołów w całej Europie, autor zaznacza:

„Są one wyrazem narodzin nowej epoki, nowego światopoglądu, nowych teoryj politycznych, nowych zapewne ustrojów społecznych i państwowych. U powstawania każdego wielkiego prądu ideowego stoi młodzież. Tak było zawsze i tak również jest teraz.

Przecież faszyzm — to rządy ludzi młodych. Mussolini nie miał czterdziestu lat, jak objął władzę, a dziś kierownik najtrudniejszego, bo jedyne na świecie ministerstwa korporacyj, podsekretarz stanu Bottai ma około 30 lat i wygląda na młodzieńczego studenta. Italia nie wyszła źle na tej „pajdokracji”, przeciwnie stała się atrakcyjnym centrum potężnego ruchu ideowego, rewolucyjnego w stosunku do dotychczasowych pojęć. Niewątpliwie we Włoszech uwydatnia się najlepiej spostrzeżenie, że w przełomowych chwilach powstania nowych koncepcyj dochodzą do głosu młodzi.”

Jakież są te nowe koncepcje? Wiemy, czym jest faszyzm. W interesującym artykule p. t. „Rewolucja Narodowa” („Awangarda, miesięcznik młodych”) p. Dzdzisław Stahl, jeden z kierowników ruchu młodych w Polsce, tak określa istotę włoskiego przełomu:

„Jest faszyzm... wspaniałym procesem wewnętrznego rewolucyjnego wyzwolenia narodu z obcych wpływów przez odrodzone, młode jego siły. To jest zasadnicze w roli faszyzmu, przez to jest on dźwignięciem się Włoch do mocarstwowej roli.

Walka z Niemcami i z uległością wobec Francji, zwalczanie wewnątrz kraju wpływów obcych, ześrodkowanych w lożach wolnomularskich i zgnięcie dawnej włoskiej masonerii, związanie się z kołami wypracowującymi

od lat niezależną myśl narodową, z nacjonalizmem Corradiniego, wypowiedzenie niewolniczej służby jałowemu hasłom 19 wieku i nawiązanie do wielkich tradycji narodowych, wreszcie podniesienie twardo i jasno postulatów polityki włoskiej, własna twórczość w organizowaniu wewnętrznym państwa — oto wielkie i wyraźne znamiona narodowego charakteru faszyzmu, oryginalnych, niezapomnianych cech tego włoskiego renesansu”.

Te same hasła narodowe porywają młodych i w innych krajach. We Francji bodaj większość młodzieży jest dziś narodowa, patriotyczna, katolicka, słowem, jak ją nazywają radykałowie — reakcyjna. Znać jest również oblicze młodzieży niemieckiej. Niedawno w głosowaniu nad kwestją przyjęcia nowego, sprzecznego z ideą narodową ustroju „*Studentenschaft*”, który chciał wprowadzić socjalistyczny minister oświaty Becker, projekt ministerjalny odrzucono 27.041 głosami przeciw 8.058 (77.1%), pomimo, że to odrzucenie projektu pociągało za sobą utratę przez „*Studentenschaft*” przywilejów oficjalnych reprezentacji młodzieży akademickiej.

Może nigdzie jednak przed Włochami nie ujawniło się tak jasno oblicze młodego pokolenia, jak w Polsce.

Przemienęły czasy przedwojenne, gdy akademik był liberałem lub socjalistą, obnosił dumnie swój ateizm i nieposzanowanie tradycji.

Dzisiaj w Polsce słowo „student” oznacza w opinii radykałów — reakcjonistę. W Warszawie rok rocznie w dniu pierwszego maja, gdy pochód socjalistyczny, ciągnąc Krakowskim Przedmieściem przechodzi mimo Uniwersytetu, z szeregów jego wyrwywają się przekleństwa, a ściśnięte pięści podnoszą się przeciw „gniazdu reakcji”. Wiadomo powszechnie, jakie było stanowisko młodzieży podczas ostatnich wyborów, wiadomo, po której stronie polegli studenci w maju 1926 r.

Stwierdza to ze smutkiem masonska „Epoka” (artykuł „Młodzież polska po wojnie”):

„Jeżeli Komendant Piłsudski mógł zwyciężyć w walkach majowych a potem zwycięsko zdobywać w narodzie okopy zaufania i współpracy, to stało się wbrew większości młodzieży akademickiej, z oparciem zato o młodzież legionową, a więc o pokolenie przedwojenne, dzisiaj stojące przy sterze”.

A na to odpowiada „Akademik Polski”, organ narodowy wyższych uczelni warszawskich (art. „Opinie tych, którzy przegrali” № 4—5 z dnia 10 b. m.).

„Jeżeli do władzy w Polsce doszedł dziś obóz Askenazego i Handelsmanna, to dlatego, że obóz ten potrafił swojego czasu przez romantyzm legionów Piłsudskiego, a jeszcze wcześniej strajk szkolny i popularne hasła patriotyczne odebrać obozowi narodowemu całe pokolenie młodzieży. Ta ówczesna młodzież dziś jest w wieku lat czterdziestu paru, w wieku, w którym dane pokolenie obejmuje rządy. I rządy te objęło wbrew starszym, którzy nie byli w możności przystosować się do zmienionych warunków.

Ale nie trzeba zapominać, że ten obóz rządzący starzeje się w gwałtownym tempie, że filistrzeje w sposób niesłychany i że sam wkrótce usłyszy od następnego pokolenia: „*ôte — toi pour que je m'y mette*”.

Rzeczywiście w obozie rządzącym panuje dziś poważne zaniepokojenie tym żywiołowym i silnym ruchem młodych, który wypowiada walkę ideologii i organizacji masonskiej. Ruch ten wyszedł już poza ramy uniwersyteckie, fala narodowo myślącej młodzieży przelewa się rok rocznie z murów wyższych uczelni na teren życia społecznego i narodowego. Pewne jest, iż nie wsiąknie ona bez śladu, ale wyźłobi w dziejowym życiu Polski nowe drogi.

S. K.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA WOJSKO

DWUTYGODNIK poświęcony sprawom obrony państwa, „Szaniec“, w ostatnim zeszycie z 1 czerwca porusza sprawę, będącą „zagadnieniem zdrowia lub rozkładu, życia lub śmierci siły zbrojnej każdego państwa“. Czytamy tam:

„Różnie mogą być ukonstytuowane naczelne władze wojskowe. Pamiętamy u nas projekty ustawy o ich organizacji, które tyle walczyły. Pamiętamy projekt gen. Sikorskiego, dostosowany do ustroju Polski jako Rzeczypospolitej parlamentarnej. Mamy dziś dekret Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, odmiennie rozwiązujący sprawę, a dostosowany do faktycznego ustroju państwa w okresie po przewrocie majowym. Nie wdajemy się tu w dyskusję, co lepsze i jak ukonstytuować władze naczelne. Idzie o to, że jakakolwiek jest organizacja władz wojskowych, jakakolwiek budowa hierarchiczna, zawsze w ramach, legalnie przewidzianych, muszą rzeczywiście istnieć i rzeczywiście działać władze, ukonstytuowane legalnie, na każdym szczeblu wyposażone w autorytet i zaufanie, i one tylko mogą być istotną władzą.

„W ciągu całego swego wojskowego życia marszałek Piłsudski walczył o tę właśnie wielką zasadę odpowiedzialności jednostkowej, o realność dowodzenia i o pełnię autorytetu dowódcy. W myśl tej zasady zwalczał on u nas zacięcie instytucję Sztabu Generalnego, pojętego jako korporacja zamknięta i hierarchiczna, swą fachowością, dyscypliną i solidarnością wyręczającą i degradującą nominalnych dowódców. Zwalczał zaś koncepcję roli kierowniczej tego czynnika nieodpowiedzialnego, tembardziej napewno wykluczał możliwość, by w miejsce czynnika bądź co bądź kompetentnego, wyszkolonego, doświadczonego, jawnego i legalnego, jak sztaby generalne, podstawić się miał raczej czynnik jakiś odmienny, jakaś korporacja polityczna, niefachowa, niejawna, nielegalna, tem samem zaś stokroć bardziej rozkładowo działająca na rzeczywistą dyscyplinę wojska.

„Środkami policji tajnej, czy sprawowanej przez jakąś „defensywę“ oficjalną, czy przez organizację prywatną, podejmującą jej zadania, możnaby trzymać wojsko w karchach, możnaby szerzyć postrach wśród jego dowódców i oficerów, eliminować ludzi o karkach sztywnych, urabiać elastyczność innych karków i innych sumień, możnaby rządzić. Możnaby nawet takim wojskiem skutecznie wspierać policję, utrzymując na wewnątrz rząd, na bagnietach oparty. Ale takimi środkami niepodobna wojska wychowywać do wojny, która potrzebuje ludzi śmiałych, nawykłych brać na się odpowiedzialność, dowódców w całej pełni, nie figurantów ani narzędzi, dowódców nie nauczonych drzeć przed tajną kwalifikacją konfidenta. Wojskiem rządzone przez „Głównoje Politiczeskoje Uprawlenie“ niepodobna wojować z szansą zwycięstwa. Tu leży oczywista słabość naszego wschodniego sąsiada pod względem strategicznym, przy pozorach jednolitości i wewnętrznej siły „robotniczej komunistycznej czerdwonej armii“.

„Na straży wojska naszego przed podobnymi niebezpieczeństwami stoją niewątpliwie ludzie odpowiedzialni w myśl konstytucji; stoi też czynnik najwyższy, wolny od odpowiedzialności przed sejmem, tem większą dźwigający historyczną odpowiedzialność, Najwyższy Zwierzchnik Wojskowy, p. Prezydent Rzeczypospolitej, ku któremu z ufnością zwracają się we wszelkich trudnych okolicznościach czy wojska“.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dyskusja nad budżetem. — Łaska Prezydenta i wymiar sprawiedliwości. — Sprawa uposażeń urzędniczych. — Sukces p. Waldemarasa.

PUNKT ciężkości zainteresowań opinii publicznej przeniósł się do Sejmu, gdzie toczy się dyskusja nad budżetem, a w związku z tem nad całokształtem polityki państwowej. Gruntownej, rzeczowej krytyce poddali politykę rządu przedstawiciele Klubu Narodowego: w dziedzinie gospodarczej (pos. prof. Rybarski), w dziedzinie polityki zagranicznej (pos. prof. Winiarski) i wewnętrznej (pos. Wierczak), w dziedzinie oświaty (pos. Kornecki), wojskowości (pos. prof. Dąbrowski), wymiaru sprawiedliwości (pos. Trąpczyński). Sensacyjne bywały niekiedy oświadczenia przedstawicieli rządu. Tak np. wiceminister spraw wojskowych, gen. Konarzewski, poruszając sprawę zaginięcia gen. Zagórskiego, powiedział:

„W sprawie gen. Zagórskiego te różne przypuszczenia nie opierają się na żadnych pozytywnych danych, może na babskich plotkach. Sąd wojskowy prowadził dochodzenie, wzywał świadków, narazie sprawa jest w zawieszeniu, aż do otrzymania nowych danych... albo też do ujęcia gen. Zagórskiego czy stawienia się jego do sądu“.

Podczas dyskusji nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości, rewelacyjnie wprost brzmiało oświadczenie ministra Meysztowicza:

„Co do sprawy p. Stpicyńskiego, to prosił on o łączny wyrok, a następnie odwołał się do łaski Prezydenta i p. Prezydent raczył go ulaskawić na mocy art. 47 Konstytucji“.

Gdy zaś mowa o wymiarze sprawiedliwości, warto przytoczyć interesujący dokument w sprawie napadu na red. Mostowicza, odczytany w Sejmie przez pos. Trąpczyńskiego:

„Świadkami napadu na red. Mostowicza byli dwaj akademicy... Sprowadzeni do Komendy Głównej (Policji, przyp.) poznali natychmiast, że autentycznym autem, którym dokonano napadu, było auto systemu Buick Głównego Komendanta Policji Państwowej, pułk. Maleszewskiego. Dalsze badania prokuratorskie ustaliły, że autem tem istotnie porwano red. Mostowicza. Autem kierował przodownik Sikora, który zeznał, że jeździł na polecenie porucznika przydzielonego z Komendy miasta do ministerstwa spraw wewnętrznych. Badany porucznik zeznał, że jeździł w sprawie „honorowej“, dalszych wyjaśnień odmówił“.

Od dłuższego czasu aktualną jest sprawa podwyższenia uposażeń urzędników państwowych, właściwie zaś doprowadzenia tych uposażeń do norm poprzednich, z uwzględnieniem wzrostu drożyzny w ciągu ostatniego dwulecia. Jak wiadomo, rząd uzależnił przeprowadzenie tej reformy od uchwalenia przez Izby prawodawcze nowych ustaw podatkowych, które Sejm od razu w pierwszym czytaniu odrzucił. To stanowisko rządu wywołało widoczne rozgoryczenie w świecie urzędniczym, czego dowodem jest choćby następująca rezolucja, uchwalona jednomyślnie na wiecu, zwołanym przez Centralną Komisję Porozumiewawczą Związków Zawodowych Pracowników Państwowych:

„Pracownicy państwowi, zebrani w dniu 3 czerwca na wiecu w sali cyrku w Warszawie, zakładają stanowczo i zdecydowany protest przeciwko stanowisku obecnego rządu, który od 2 lat ludzi pracowników obietnicami regulacji płac, uzależniając ją od coraz to innych okoliczności i oznaczając coraz to inne terminy, których jednak nie dotrzymuje...

Pracownicy protestują stanowczo przeciwko uzależnieniu podwyżki swoich płac od uchwalenia nowych podatków, uważając, iż poniżej to godność pracowników i może stać się powodem nienawiści pomiędzy poszczególnymi warstwami społeczeństwa“.

Klub Narodowy od początku stał na stanowisku, iż wiązanie uposażeń urzędniczych ze sprawą nowych podatków nie jest rzeczą właściwą, stwierdzał pozatem, że podwyższenie pensyj pracowników państwowych bez naruszania równowagi budżetu jest najzupełniej możliwe, o ile w budżecie przeprowadzone zostaną odpowiednie oszczędności. W tym celu też Klub Narodowy zgłosił w komisji budżetowej Sejmu kilkaset wniosków „oszczędnościowych“, które w razie ich uchwalenia doprowadziłyby do nadwyżki dochodów nad wydatkami w sumie zgorą 200 milionów złotych, a zatem najzupełniej wystarczającej dla podwyższenia płac pracowników państwowych o 25%.

Dyskusja budżetowa w Sejmie i z tego powodu była nader interesująca i znamienna, że postowie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem wyjawili w niej wyraźną całkiem niechęć do jakiegokolwiek głębiej sięgającej naprawy ustroju Państwa. Poseł Sławek wyparł się uroczyście „faszyzmu“ oraz zamiarów zmiany obecnego prawa wyborczego, poseł Radziwiłł ograniczył się do wychwalania „oświeczonej demokracji“, zaś

generalny referent budżetu z ramienia B. B., pos. prof. Krzyżanowski oświadczył wprost: „Zasada demokracji parlamentarnej... jest przezemnie podzielana“. Podczas obecnej dyskusji budżetowej jedynie prezes Klubu Narodowego, poseł prof. Roman Rybarski nakreślił szerzej pomyślany program reformy Konstytucji.

Na ostatnim posiedzeniu Rady Ligi Narodów przyjęto rezolucję, odraczającą sprawę sporu polskoliteńskiego do jesieni. Taktyka odwlekania, stosowana od początku przez p. Waldemarasa, uwieńczona została w ten sposób pełnym powodzeniem, tembardziej nieusprawiedliwionem, że wskutek ogłoszenia Wilna jako swej stolicy, Litwa najwyraźniej złamała zobowiązania, wynikające z art. 10 Paktu Ligi, w którym członkowie Ligi zobowiązują się wzajemnie szanować nietykalność swych terytoriów.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

POLSKA HISTORJA LITERATURY ANGIELSKIEJ

O DROBIONA została wreszcie (przynajmniej częściowo) zdawna czekająca swojej kolei zaległość: ukazało się pierwsze na większą skalę zakrojone dzieło polskie, obrazujące dzieje literatury angielskiej. Profesor Władysław Tarnawski wydał oto przed niedawnym czasem „Historji literatury angielskiej“ tom pierwszy, obejmujący okres od czasów najdawniejszych aż do roku mniej więcej 1660, zamknięty charakterystyką twórczości Milтона i Drydena. Okres iście merlinowski pod względem fantastyczności przemian, zachodzących w życiu narodu angielskiego, bo w ramach jego przekształcają się wszystkie najistotniejsze elementy tego życia: język, charakter narodowy, instytucje polityczne, nawet religja, nawet materiał rasowy, z którego wyrasta typ psychiczny i fizyczny Anglika... Jednocześnie wszystkie te niezwykle perypetje odbijają się w dziejach literatury. I tu ciągłość się zrywa: aż do czasu najazdu normandzko-francuskiego pisana ta literatura w języku angielskim, którego pierwiastki przygłuszone są w dalszym rozwoju przez wpływy francuskie, aż wreszcie ze spławu tych elementów powstaje mowa, zbliżona do angielszczyzny dzisiejszej — i mniej więcej od połowy w. XVI zaczyna się okres literatury nowoangielskiej. Ale ciągłość rozwoju wskutek walk w dziedzinie społecznej, politycznej i kościelno-religijnej rwie się jeszcze przez wiek cały tak okrutnie, że dopiero od czasu wyłączenia katolicyzmu i niepodzielnego zapanowania cywilizacji protestanckiej (o typie coprawda kompromisowym) dzieje narodu angielskiego toczą się, przynajmniej od w. XVIII począwszy, równo i gładko torem rozwoju ewolucyjnego, a ciągłość ta, zachowana przez ostatnich lat dwieście podczas burz dziejowych, wstrząsających posadami państw europejskich na kontynencie, przyzwyczajają opinię do uważania Anglii za ostoję tradycji, siedzibę geujusza ewolucji, i kraj klasyczny zmian łagodnych, stopniowych. Tak krótki okres czasu wystarczył na ustalenie tej wyjątkowej reputacji... Ale tę jednolitość wewnętrzną dziejów najświetlejszych zdobyła Anglija kosztem rozerwania swojej historii na dwoje, kosztem datowania jej właściwie od czasów reformacji. Najistotniejszym znamieniem psychiki angielskiej jest wciąż jeszcze podtrzymywana ideologją germanizmu niechęć do wszystkiego, co reprezentuje bogatą tradycję rzymską, a zwłaszcza katolicką w cywilizacji angielskiej. Ale ta niechęć do wielkiego okresu własnych dziejów nie wytrzymuje krytyki głębiej pojętego tradycjonalizmu

i patriotyzmu, to też do najżywoźniejszych dziś w Anglii zagadnień należy kwestja wartości cywilizacyjnych katolickiego okresu dziejów Wielkiej Brytanji, kwestja rewizji poglądów na podrzędną, według utartego zdania krytyki oficjalnej, epokę historii narodowej. Stąd też i fenomeny literackie tej epoki oraz następnego okresu przejściowego szczególnie są ciekawe i ważne dla poznania dziejów duszy społeczeństwa angielskiego. A i tak, z ciasniejszego stanowiska zainteresowań formalno-literackich, czasy, omawiane w pierwszym tomie dzieła prof. Tarnawskiego, wyróżniają się zjawiskami literackimi niezwyčajnego blasku. Dość wspomnieć tylko najznakomitsze imiona: Chaucera, Spensera, Fr. Bacona, Marlowe'a, Szekspira, Milтона, Drydena...

Po raz pierwszy, jak wspomnieliśmy, traktuje o nich praca polskiego uczonego, sumienna, gruntowna, oparta o rozległe samodzielne badania i uwzględniająca stan dzisiejszej wiedzy o przedmiocie. Mieliliśmy już wprawdzie publikacje, niby to traktujące o tej samej dziedzinie (jak np. szkicowa praca Marji Rakowskiej) — ale niestety, uwydatniały one li tylko, zamiast zapełnić, — dotychczasową lukę. Nawet rzecz z tego zakresu w całej Europie najpoczytniejsza, dzieło Taine'a, nam przyswojone także nie było piórem, bo Elizy Orzeszkowej, nie zostało w polskiej edycji w całości ogłoszone. To też książki prof. Tarnawskiego ucieszą się nie tylko Angliści; naturalniejsza bodaj, by pierwsi przywitali ją z entuzjazmem miłośnicy kultury ojczystej.

Tak, bo wypracowując własny, niezależny pogląd na kultury obce, zwłaszcza najbogatsze i najwspanialej rozwinięte, kompletujemy przedewszystkiem kulturę własną. Jest to wielki urok i sekret atrakcyjności kultur takich, jak francuska, angielska, niemiecka, że stając w obrębie którejkolwiek z nich, tem samem już rozejrzeć się można po całym świecie. Każda z nich, to gotowy, względnie jednolity system wiedzy o świecie. Takich wielkich, bliskich kompletności systemów jest niewiele, lecz to pewna, że naród, aspirujący do stanowiska mocarstwowego, musi także w pewnym zakresie zdobyć sobie system wiedzy o świecie na własny użytek. Musi ją mieć własną, skoro posiada własną, o pewnych cechach odrębną cywilizację narodową, własne zainteresowania, własną logikę.

Powiększając zaś w ten sposób swój dorobek kulturalny, rozszerza jednocześnie sferę promieniowania na zewnątrz. Pomyślmy, jak dalece zastąpić mogłaby Polska dla kultur słowiańskich środkowo-europejskich niedozonego dziś dla nich przewodnika i profesora niemieckiego, gdyby więcej ukazywało się u nas książek tego typu, co omawiany podręcznik prof. Tarnawskiego...

Punktem wyjścia do oceny wartości tej książki nie może być samo skonstatowanie erudycji autora, choć oczywiście znajomość gruntowna przedmiotu — to wstępny warunek wszelkiego opracowania samodzielnego. Pod tym względem wykazał się prof. Tarnawski kwalifikacjami imponującymi. Niema, rzecz prosta, mowy o tem, by można było ogarnąć świat tak wielki, jak literatura angielska (czy np. polska) w bezliku wszystkich jego zjawisk, ale też rzecz to niemal tak samo niepotrzebna, jak niemożliwa. Chodzi głównie o wybór stosowny, o samodzielne zgłębienie utworów najważniejszych, najbardziej z tego czy innego względu reprezentatywnych. Zasób utworów tych kategorii, i tak przytłaczająco ogromny, poznał i przestudjował prof. Tarnawski z lektury własnej, ta zaś autentyczność stosunku do ciekawszych fenomenów angielskiego piśmiennictwa nie tylko odpowiada wymogowi sumiennosci naukowej, lecz także przydaje wdzięk relacjom i opisom. Przebiega w doborze cytatów, w zaznaczeniu miejsc, interesujących

specjalnie czytelnika polskiego. Gdzie wypadło zdawać sprawę podług gotowych opracowań, tam autor korzystał przede wszystkim z podstawowej *Cambridge History of English Literature*, a obok tego z Langa, Courtkopsa i innych powag. Zbędna dodawać, że wogóle wszystkie rozdziały swej książki pisał, mając na oku najważniejsze dzieła historyczno-literackie, dotyczące odnośnych dziedzin.

Co zaś wzmacnia jeszcze pozycję naszego anglisty, to niewątpliwe umiłowanie swojej rzeczy. Sama oschła znajomość literatury, choćby najgruntowniejsza, nie poradzi tu sobie z całym szeregiem zagadnień, jeśli sympatja do zjawiska literackiego, bez której niemasz dobrego krytyka, nie przyjdzie z pomocą i nie zaostriży wnikliwości badacza.

Ale wszystko to, jak powiedzieliśmy, są tylko warunki wstępne. Do zadośćuczynienia im trzeba pracowitości i talentu — ale obie te rzeczy bynajmniej nie wystarczają. Przeciwnie, gdy chodzi o tak fascynujący przedmiot, jak literatura angielska, raczej obawiać się należy, iż krytyk da się zbyt łatwo ponieść sympatji, niżli zgrzeszy jej brakiem; że w zapale dla swojej rzeczy straci grunt cywilizacji ojczystej pod nogami i w rezultacie da pracę, będącą li tylko słabym odbiciem poglądów angielskich, niesamodzielną intelektualnie i moralnie, ostatecznie, ze stanowiska wyższych kryterjów, bezwartościową.

Otóż dzieło prof. Tarnawskiego zjednywa sobie od pierwszej chwili czytelnika wyraźnym do tego kapitalnego zagadnienia stosunkiem. Ambicją lwowskiego anglisty jest spojrzeć na piśmiennictwo angielskie oczyma Polaka. „Nigdy“ — czytamy w przedmowie — „nie wzdragałem się przed wypowiedzeniem poglądów odmiennych, niż utarte pośród angielskich krytyków literatury. Moje stanowisko jest stanowiskiem cudzoziemca“. Wykład Polaka, — a w tem leży, ma się rozumieć, nie tylko intencja uwydatnienia powierzchownych związków czy podobieństw między literaturą polską i angielską, lecz także zamiar przedstawienia istotnych pokrewieństw czy kontrastów ze swobodą i pogłębieniem sądu, jaki daje autorowi przynależność do cywilizacji polskiej.

Niemniej i przypadkowe nawet asocjacje polskie same już mile zdobią poważny tok wykładu: Chancer: „znacznie wyprzedził swój wiek, i jak najwyższe szczyty tatrzańskie leżą poza głównym pasmem — stoi nieco na uboczu“ (s. 57).... „Pap with a Hatchet“ znaczy: „Papka na toporze — przysłowiowe wyrażenie angielskie: „podawać dziecku papkę na toporze“ przypomina słowa Kmicica „Naści piesku kiełbaski“, wypowiedziane, gdy wsadzał swą kieszkę z prochem w gardziel szwedzkiej kolubryny“ (s. 182).... Szekspir dzielił poglądy swojej epoki — „Nie mogło być inaczej. Czyż można od gleby podolskiej żądać, żeby rodziła palmy i banany?“ — I t. p.

Częściej, ma się rozumieć, wplata autor zestawienia, mające uwydatnić zbieżności czy analogie historyczno-literackie. Powie np., że „treść „Kalendarza“ (spenserowskiego) nie zachwyca ani głębokością, ani oryginalnością, a porównanie z Szymonowiczem musiałoby pod tym względem wypaść na niekorzyść Anglika, u którego nie znajdzie połowy szczeroci i prostoty Polaka“ (s. 175), albo przytoczy czyjąś opinię, że „Rada z „Pana Tadeusza“ więcej artystycznie warta, niż narada szatanów z „Raju Utraconego“ Milтона, i zawoła z humorem: „Może ściągna na siebie zarzut szowinistycznego zaślepienia, ale dzieł to zapatrywanie“ (s. 484). Zareferuje, że w Anglii postaci Geofreya znalazły fanatyków swej autentyczności — „jak u nas ośmieszono przez Naruszewicza „Wandy i Lechy“ i t. d. i t. d. —

A poza tem wszystkim nie zaniedbuje sposobności, aby zacytował czasem dodatkowo jakąś wzmiankę o Polsce ze starego dramatu, kroniki, czy pamfletu.

Przebywając dzieje angielskie szlakiem literatury, nie powściąga autor-podróżnik swoich odruchów moralnych Referując np. dzieło Foe'a, poświęcone martyrologii protestanckiej za Marji Tudor, napisze: „Najgorliwszy katolik nie oprze się wzruszeniu, czytając o śmierci Latimera i Ridley'a, a w prostych słowach, włożonych w usta pierwszemu: „Teraz zabawmy się w mężów, mości Ridley, i zaświećmy ogień, co rozjaśni całą Angliję!“ znajdzie klucz do zrozumienia wieków historii brytańskiej“ (s. 234) — A nie waha się też z wypowiedzeniem, gdy okazja po temu się zdarzy, także sądów w sprawach (w najogólniejszym znaczeniu) politycznych. A więc zdanie Bacona: „Niech żaden naród nie spodziewa się być wielkim, jeżeli nie jest czujny na każdą przyczynę do zbrojeń“ — opatry komentarzem: „To zdanie do dziś dnia ma w sobie więcej prawdy, niż cała Liga Narodów“ (s. 248). — Rolę zaś Szekspira, jako duchowego łącznika między Anglią i Niemcami, tak oświetli: „Szekspir stał się mostem, łączącym oba narody i gdyby nie on, społeczeństwo angielskie byłoby z pewnością w naszych czasach reagowało na filogermanską politykę swych mężów stanu, niewątpliwie fatalną dla państwa“ (s. 360).

Pomimo wszystko, nie postawił sobie jednak prof. Tarnowski za cel ukazania historii literatury na tle cywilizacji angielskiej wogóle i nie obchodzi go właściwie sprawa związku między jednym a drugim. Maluje tło historyczno-obyczajowe, ale tylko najbliższe danej postaci, nie sili się natomiast wskazać na rysy duszy zbiorowej angielskiej w danym okresie zasadnicze, nie uwydatnia wielkich linii rozwojowych charakteru angielskiego politycznego i religijnego. Wskutek tego to, co podaje z tła historyczno-obyczajowego, włączone jest poniekąd przypadkowo. Dowiadujemy się np., że Tomasz More dowcipkował nawet na szafocie, a nie dowiadujemy się, że ten skazaniec należy do największych postaci w poczcie angielskich męczenników za sprawę katolicyzmu. — Opowiada autor np. historję kryzy, ale całkowicie pomija dzieje instytucyj publiczno- i prywatnoprawnych. — Oczywiście trzeba tu mieć na uwadze trudności pioniera, który po raz pierwszy podejmuje przedstawienie hist. lit. ang. ku pożytkowi czytelników polskich i na tem polu nie ma jeszcze poprzedników.

Pozwolimy tu sobie jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół. Autor poszedł za utartem mniemaniem pewnej kategorii historyków, przedstawiając panowanie Elżbiety, jako okres „względnej tolerancji religijnej“. Z wszelką, zdaje się, pewnością można przyjąć, iż właśnie panowanie to zadało cios śmiertelny katolicyzmowi w Anglii. Co warte skonstatowanie, że „całe panowanie Elżbiety upłynęło prawie bez wyroków śmierci za wiarę“ (s. 150), skoro, jak stwierdza ultraprotestancki historyk Grecu, „nas współczesnych bardziej od jawnego prześladowania oburza polityka, która każdego duchownego katolickiego piętnowała, jako zdrajcę...“ (I, 386, H. Un. L.). Książ z samego prawa uważany był podówczas za zdrajcę i karany śmiercią. System ten, stosowany „z bezlitosną energią“ przez lat 40, zrobił swoje.

Z punktu widzenia czysto prawniczego taki Campian nie za wiarę swoją położył zdrowie, ale dziś trudniej nam przejąć się tem kryterjum prawniczem, niż słowami Skargi, który tłumaczył Campiana i pod wrażeniem prześladowań w Anglii wołał jeszcze za życia Elżbiety: „A czas twój przyjdzie, nieszczęśliwa okrutnico, którego krwie tej niewinnej przypłacisz, a wyroki Boskie i Kościelne na tobie się iść muszą. A ty Anglija ze krwi

tej męczeńskiej powstać masz, a próżna nie będzie tak droga śmierć dobrych synów twoich, gdy ci źli albo się nawrócą, albo je Bóg wytraci". —

Kładąc główny nacisk na "opis" samych utworów literackich, hojnie szafował autor streszczeniami. Można wątpić, czy metoda ta prowadzi do celu, bo o czym daje czytelnikowi pojęcie? Czy o wartości artystycznej utworu? Tej sam szkielet fabuły nawet przeczuwać nie daje. O znaczeniu historycznym pewnych motywów? Ależ tutaj o wiele lepiej odpowie zadaniu jakaś synteza tyczna. Metodę streszczeń uprawia autor ze względu na brak czytania naszych sfer wykształconych w literaturze angielskiej, zwłaszcza starszej — ale wolno mniemać, że nieoczytanym więcej przydałoby właśnie się syntezy i uogólnienia. Tą ostatnią drogą poszli w metodzie wykładu autorzy francuscy Legonis i Caramian, a podreżnik ich z pewnością nie stracił na tem.

Notujemy te uwagi á propos tomu I — lecz oczekiwać można już w niedługim czasie ukazania się tomu II. Czy w nim doprowadzi autor opowieść swą do końca, czy rozmierzy ją jeszcze na tom III — nie wiemy. To pewne, że już ten pierwszy tom jest pozycją ważką w naszej literaturze naukowej lat ostatnich.

W. J. C.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Kazimierz Wóycicki rozpoczął prawidłowe studia nad okresem pozytywizmu w Polsce. Zamierzył mianowicie w pięciu tomach wydać najważniejsze materiały do historii literatury w tej epoce. Pracy swej dał tytuł: „Walka na Parnasie i o Parnas. Materiały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego”. Nakład Gebethnera i Wolffa. Wyszła obecnie część I, tego dzieła, poświęcona Walce z epigonizmem (s. 234). Następne tomy zajmą: 2) Walka o hasła i programy w publicystyce 3) Tyraljerka pozytywistyczna, 4) Hejże na Sopleć! (walka o romantyzm).

Wydawnictwo prof. Wóycickiego przyczyni się do ożywienia prac nad pozytywizmem, bardzo opóźnionych. Dotychczas najgruntowniejszym opracowaniem tego okresu były dzieje literatury najnowszej Piotra Chmielowskiego, a potem Zygm. Szwejkowskiego monografia o „Lalce” Prusa. Materiały, wydobyte w t. I, z prasy przeważnie, przez Wóycickiego, obejmują walkę z wierszoklectwem od r. 1852 (głos Szajnochy) do r. 1880. Oczekujemy z upragnieniem dalszych tomów.

Piękną książką są „Dwie wiosny” Jana Parandowskiego (wydane przez „Ossolineum”). Wytworny stylistyka autor „Mitologii” i „Erosa na Olimpie”, świetny tłumacz „Dafnisa i Chloi”, dał tu jeszcze raz wyraz swemu umiłowaniu klasycznego piękna. Na książkę złożyły się fejetony, drukowane najpierw w „Kurierze Poznańskim”, a powstałe na tle wrażeń doznanych przez autora podczas pobytu w Grecji i na Sycylii. Temat sam przypomina włoskie i greckie peregrynacje Sienkiewicza — a za żołnierza z pod znaku Sienkiewicza uważa się przecie sam Parandowski — jednakże nigdy nie widzimy tu naśladowania. Starożytność grecka jest tak wiecznie młoda, że i po Goethem, Shelleyu, Słowackim czy Sienkiewiczu można w niej znajdować coraz to nowe duchowe podniety. Parandowski ma, jak to mówi Słowacki, „oczy rafałowe” i obdarzony jest „platońską i atycką uwagą” przeto dotręga ogromnie dużo, a o wszystkim umie opowiedzieć ciekawie, z wdziękiem, stylem prawdziwie klasycznym, użyte w jednym miejscu porównanie z lutnią Amfiona, która dźwiękiem swym zamieniła rumowiska kamienne w dzieła pięknej architektury, jest trafne i w zastosowaniu do samego autora „Dwóch wiosen”.

Jako publikacja Tow. Przyj. Nauk w Wilnie, ukazał się „Autograf Zdań i Uwag Adama Mickiewicza”, opracowany przez prof. Stanisława Pigonia. Z ważniejszych autografów poety ten jeden dotąd nie był wydany. Prof. P. ogłasza oto autograf Zdań, dochowany w bruljonie w Muzeum Mickiewiczowskim w Paryżu, zaopatrując tekst Mickiewicza wyczerpującymi uwagami rzeczowymi, ustalając pomiędzy innymi datę powstania Uwag na lata 1833 i 1834. Rzecz jest wydana bez zarzutu, co chlubnie świadczy nietylko o wydawcy, ale też

o stopniowo wzrastającej kulturze wydawniczej w Wilnie, której poziom podniósł znakomicie Uniwersytet. Po raz pierwszy ogłasza się to zdanie, oznaczone liczbą 83:

Świadek mówi, co widział, mędrce, co się zdało.
I stąd między mędrkami męczenników mało.
Wydawnictwo zdoła dwie podobizny autografu.

Cenna rozprawa J. G. Pawlikowskiego o „Chronologii pism genezyjskich i rozwoju genezyjskich pomysłów Słowackiego” wyszła świeżo jako osobna odbitka z 24-go t. „Pamiętn. Literackiego”. W rozprawie tej prof. P. zwraca uwagę na pierwszorzędną sprawę rozwoju filozofii Słowackiego od koncepcji czysto ewolucjonistycznej, spirytualistyczno-monistycznej, zbliżonej do deizmu i nieledwie wykluczającej ingerencję Bóstwa (I red. *Genezis* z lata 1844), aż do stanowiska konsekwentnie chrześcijańskiego w „Liście do Rembowskiemu” (lato 1847). Wnioski, które ustala prof. P., pozwalają czytelnikowi wejrzeć w tajne filozofii Słowackiego, którą dotychczas rozpatrywano błędnie jako jedną całość, nie dostrzegając w niej linii rozwojowej, zarysowującej się teraz już dość wyraźnie. Szkoda tylko, że autor zbyt pochopnie określa poglądy poety z r. 1844, w przeciwieństwie do późniejszej spekulacji teologicznej, jak „proste i jasne”. Chyba w takim stopniu, jak geometria jest prostrza od psychologii, a fikcja jaśniejsza od... prawdy?

Pisma Ojców Kęścioła, wychodzące w Poznaniu (księg. Fiszer i Majewskiego) pod redakcją prof. uniw. Jana Sajdaka, ukazują się nadal w coraz nowych tomach. Prócz tomów, omówionych poprzednio na tem miejscu, wyszły ostatnimi czasy dzieła Boecjusza i Kasjana, a w przygotowaniu są dzieła ś. Augustyna i Wincentego z Lerynu. „Wyznania” ś. Augustyna — najcudowniejsza opowieść o miłości matki — powinny obudzić szersze zainteresowanie nietylko zawodowych teologów i filologów; następnie polityka, filozofa i historyka musi zaciekawić arcydzieło tegoż pisarza: „*De civitate Dei*”. Równie doniosłą rolę w dziejach umysłowości ludzkiej odegrało dzieło „O pociechach filozofii” wybitnego męża stanu z czasów Teodoryka, Seweryna Boecjusza, jednego z najbardziej uniwersalnych ludzi, jakich zna historia (był politykiem, teologiem, poetą, matematykiem, muzykiem etc); dzieło to piękne przetłumaczył ks. dr. Tadeusz Jachimowski. Bardziej specjalne znaczenie mają dialogi Kassjana, pierwszego prawodawcy reguł zakonnych w zachodniej Europie oraz dialog z żydem „Tryfonem” i inne apologie chrześcijaństwa, pisane przez Euzebjusza z Cezarei. Wszystkie tomy opracowane są wzorowo z uwzględnieniem najnowszych badań i przynoszą prawdziwą chlubę polskiej nauce.

Miłą książeczką jest „Smutek-Zwodnik” napisany przez Józefa Watrę-Przewłockiego, a wydany przez księg. św. Wojciecha. Autor dał tej książeczce podtytuł: „Klechdy i legendy Pomorza”, choć, zdaje się, większość zawartych tu powiastek jest całkiem oryginalna i z ludową klechdą wiąże się tylko postacią Smętka (Smantka), która w wierzeniach kaszubskich odpowiada podobno djabłu. Postać ta znana z pism Zeromskiego („Wiatr od morza”, „Wspomnienie o M. Abrahamowiczu”) została przez Przewłockiego uchwycona rozmaicie: w jednych nowelkach jest to — znany z polskich podań ludowych — djabeł głupty, którego lada chłop czy lis może wyprowadzić w pole, kiedyindziej zaś jest to wcielenie zła, które na Słowian przyszło od Niemców. Potoczny język i barwny styl (zwłaszcza w nowelach początkowych) winny zjednać tej książce pożyteczność. Autor podobno ma w przygotowaniu trylogję, której część I „Szukanie Boga”, wyszła nakł. księg. Rzepeckiego w Poznaniu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Louis Artus, autor „*La Maison du fou*” i „*La Maison du sage*”, a równocześnie pisarz dramatyczny cieszący się dużym powodzeniem, porzucił dobrowolnie sukcesy sceniczne, oddając się wyłącznie literaturze. Jego twórczość nie jest zresztą ogółowi przystępną, ale Louis Artus nie dba o to, bo nie łaknie bynajmniej łatwego rozgłosu. Ostatnia jego powieść „*Les Chiens de Dieu*” (Grasset édit.) jest szeregiem niezwykłych przygód. Jest tam mowa i o magji i o pakcie z djabełem, zawartym w mieszkanie kubistycznym, znajdującem się w pobliżu Wieży Eiffa. Pomimo zaś, że w książce też poświęcono dużo miejsca siłom demonicznym, przebija z jej kart mistyczna idea zbawienia i wiary.

*
„Dieu nous voit“ (Grasset édit.) — oto tytuł książki Maurycego d'Hartoy, tytuł, który sam w sobie zawiera całą zasadniczą jej treść, wyrażając dobitnie wiarę w Opatrzność, jaka nad nami czuwa, oraz oparcie, jakie daje duszy ludzkiej świadomość obecności boskiej. Dzięki tej wierze pani Ormelle i porucznik Gilles nie popełnili czynu nieodwołalnego. W chwili bowiem ostatecznego niebezpieczeństwa, okrzyk ten, rzucony przez kobietę, ocala ją i jej ukochanego od zguby. Nie dość na tem. Pani Ormelle sprowadzi do Boga człowieka, który przez miłość dla niej odeń się odwrócił. Toteż jakkolwiek oddzieleni są od siebie w znaczeniu ludzkim, to jednakowoż połączy ich raz na zawsze wspólny ideał oraz wiara głęboka. Książka ta jest bardzo interesująca; jest dobrą powieścią o duchu wybitnie katolickim. Jej bohaterowie walczą, gdyż życie ludzkie wystawione na pokusy, ale im się zwycięsko opierają, poddając dyscyplinie uczucia, poskramiając namiętności.

*
 P. Marja Le Franc, której przypała w tym roku nagroda „Femina“ za jej znakomity utwór, sławiący piękno Bretanii w „Grand Louis l'Innocent“, przygotowuje nową powieść p. t. „Le Poste sur la dune“.

TRZECI ZJAZD BIBLIJOFILÓW POLSKICH WE LWOWIE

PORAZ trzeci zrzeszone biblijofilstwo nasze odbyło (26 — 29 maja) uroczysty przegląd swych sił w celu podjęcia dalszej zbiorowej akcji, zmierzającej do nadania książce polskiej wyrazu większego dostojności.

Kiedy zebrała się brać biblijofilka na swój pierwszy sejmik w r. 1925 w Krakowie, liczyła razem około 200 członków zrzeszonych w 6 towarzystwach, zawiązanych kolejno w Warszawie, Krakowie, Zamościu, Paryżu, Lwowie i Poznaniu w okresie od 1921 r. do 1925 r. Obecnie jest już 11 zrzeszeń biblijofilskich — przybyły nowe w Toruniu, Wilnie, Lublinie, Łodzi i Kaliszu — z ogólną liczbą przeszło 470 członków.

Już te cyfry same przez się świadczą wymownie o wroście i rozwoju ruchu biblijofilskiego u nas.

Niemniej wzmożła się i spoistość organizacyjna zrzeszonych miłośników książki. Walnie przyczyniła się do tego Rada Biblijofilka, z przedstawicieli zrzeszeń biblijofilskich złożona, a powołana na Pierwszym Zjeździe w r. 1925 w Krakowie, w celu utrzymywania łączności między polskimi towarzystwami biblijofilskimi, inicjowania zjazdów biblijofilskich i wykonywania ich uchwał, reprezentowania polskich towarzystw biblijofilskich w kraju i zagranicą, krzewienia i popierania polskiego ruchu biblijofilskiego oraz gromadzenia o nim informacji.

We Lwowie w przeddzień Trzeciego zjazdu odbyła Rada Biblijofilka piąte swe posiedzenie, na którym przyjęto do zatwierdzającej wiadomości sprawozdanie Prezydium Rady za cały czas jej 3-letniej kadencji (1925—28), omówiono szerzej dalsze wytyczne na okres najbliższy, uchwalono na wniosek T-wa Biblijofilów Polskich w Poznaniu, że następny, czwarty Zjazd Biblijofilski odbędzie się w r. 1929 w Poznaniu z okazji setnej rocznicy otwarcia Biblioteki Raczyńskich, wreszcie powołano jednomyślnie do prezydium Rady na następną 3-letnią kadencję ponownie wszystkich poprzednich jego członków.

Trzeci Zjazd Biblijofilów Polskich we Lwowie odbył się łącznie ze Zjazdem Bibliotekarzy Polskich, niewłaściwie nazwanym „piewszym“, ponieważ pierwszym był bezspornie — kto wie czy nie liczniejszy — zlot bibliotekarzy i bibliografów na Drugim Zjeździe Biblijofilów Polskich w r. 1927 w Warszawie. Na nim przecież w sekcjach biblijograficznej i bibliotekarskiej

poruszono i omówiono najdonioślejsze zagadnienia z zakresu biblijografii i bibliotekarstwa, z których, pewne, choć nie najistotniejsze, wzięto częściowo pod obrady Lwowskiego Zjazdu Bibliotekarzy.

Łączność wyrażała się we wspólnych uroczystych posiedzeniach otwarcia i zamknięcia obu Zjazdów, po-zatem obrady toczyły się całkiem osobno.

Podczas inauguracji obu Zjazdów, po przemówieniu prezesa T-wa Miłośników książki we Lwowie, p. Stanisława Łempickiego, nastąpiło ukonstytuowanie się wspólnego Prezydium Zjazdów, do którego w charakterze przewodniczącego powołano hr. Edwarda Krasńskiego z Warszawy. Następnie po przemówieniach powitalnych różnych delegatów m. in. Czechów, Prezes Rady Biblijofilskiej p. Stefan Demby wygłosił interesujący odczyt o Bibliotece Narodowej, który T-wo Biblijofilów Polskich w Warszawie wydało własnym sumptem jako dar dla uczestników Zjazdu Lwowskiego.

Na posiedzeniu inauguracyjnym przeciwnicy utworzenia Biblioteki Narodowej w Warszawie — w myśl dekretu o niej z dn. 24 lutego 1928 r. — usilnie kolportowali odbitkę z „Czasu“ z artykułem Stanisława Estreichera o „Dekrecie o Bibliotece Narodowej“, który profesorowi krakowskiemu nasunął tyle obaw i wątpliwości, że profesor zamiast uzyskać od fachowców — tych nie brak przecież w Krakowie — kompetentne uspakajające wyjaśnienia w tym względzie, pośpieszył podzielić się swoją pełną nieznaną rzeczą elukubracją aż z uczestnikami obu Zjazdów we Lwowie! Wywołało to zdziwienie, a nawet obudziło pewne uczucie niesmaku.

Niezwłocznie po wspólnym posiedzeniu inauguracyjnym nastąpiło właściwe otwarcie Trzeciego Zjazdu Biblijofilów. Na przewodniczącego, zgodnie z tradycją poprzednich zjazdów, powołano prezesa T-wa Biblijofilów Polskich w Poznaniu p. Saturnina Mravincsa. Poczem wiceprezes Rady Biblijofilskiej, założyciel czasopisma biblijofilskiego „Exlibris“, p. Franciszek Biesiadcki wygłosił piękny odczyt o Józefie Maksymilianie Ossolińskim jako biblijofilu, — temat był szczególnie aktualny z uwagi, że oba Zjazdy zwołano do Lwowa w celu uświetnienia setnej rocznicy Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, którą jednocześnie bardzo uroczysto obchodzono.

Na posiedzeniu poniedziałkowym dn. 28 maja poruszono czołowe zagadnienia biblijofilskie. Zainicjował dyskusję Emil Zegadłowicz z Poznania w poetyckiej, choć bardzo fachowej „Gawędzie Poety z Typografem“, dając wyraz swej trosce o właściwe i godne oblicze książki polskiej, któreby ją należycie i dodatnio wyróżniało od angielskiej, francuskiej, czy innej. Byłoby wielce pożądane, aby „Gawęda“ ta jaknajprędzej mogła wyjść z druku i w ten sposób skuteczniej jeszcze przyczynić się do rozbudzenia wśród jaknajszerszych sfer miłośników książki zrozumienia poruszonej przez Zegadłowicza sprawy.

Również ważne tematy biblijofilskie poruszył Kazimierz Hartleb ze Lwowa w przemówieniu dyskusyjnym „o Przeszłości i przyszłości biblijofilstwa polskiego“, starając się bliżej skonkretyzować jego potrzeby najbliższe i sposoby ich realizacji. Niestety, z powodu braku czasu zapewne, tematy te nie wywołały oczekiwanej dyskusji. Poruszono jedynie sprawę przyspieszenia ukończenia „Biblijografii Polskiej“ K. Estreichera, która utknęła na 26-tym tomie jeszcze w r. 1915 i od tego czasu nie może dalej ruszyć z miejsca, pomimo uchwały powziętej w tej sprawie w r. 1925 na Pierwszym Zjeździe Biblijofilów Polskich w Krakowie, że „ukończenie tego wydawnict-

wa jest najważniejszym postulatem nauki polskiej w dziedzinie bibliografii, oraz pomimo zapewnienia sfer miarodajnych, że wydatne poparcie materialne na kontynuację i ukończenie druku „Bibliografii Polskiej“ jest zapewnione.

Winę za to ponosi, jak się o tem w toku dyskusji dowiedziano, nowy od r. 1910 wydawca „Bibliografii Polskiej“, prof. Stanisław Estreichert, który będąc widocznie przeciążony ważniejszymi pracami i sprawami nie wiele może poświęcać czasu na opracowanie surowego materiału, — przygotowanego do kontynuacji Bibliografii.

W obronie prof. Stanisława Estreicherera stanął członek Polskiej Akademii Umiejętności prof. J. Łoś, zapewniając, że prof. Stanisław Estreicher usilnie nad kontynuacją „Bibliografii Polskiej“ pracuje. Prof. Łoś nie wiedział zapewne, że niemal w tym samym czasie w tymże gmachu Uniwersytetu Jana Kazimierza, tylko w innej sali na Zjeździe Bibliotekarzy, inny pracownik Polskiej Akademii Umiejętności składał rzeczowe wyjaśnienie, iż będący w posiadaniu Polskiej Akademii Umiejętności materiał do dalszej kontynuacji „Bibliografii Polskiej“ pozostaje nadal *in crudo*, nie skontrolowany *de visu* z obiektami, i że iście złotym krokiem opracowanie posuwa się naprzód. Miało się wrażenie, że o ileby praca miała iść dalej w tem samym tempie, trzecie dopiero pokolenie naszych bibliofilów i bibliotekarzy doczeka się zapewne jej końca.

Nic dziwnego zatem, że gorliwa obrona prof. Stanisława Estreicherera przez prof. J. Łosia nie znalazła posłuchu i że został jednomyślnie przyjęty wniosek redaktora Ludomiła Lewenstama z Warszawy, aby Trzeci Zjazd Bibliofilów Polskich we Lwowie podjął energiczne zabiegi w celu jaknajszybszego ukończenia „Bibliografii Polskiej“.

Zgłoszono przy tej sposobności nawet demonstracyjny wniosek, aby prof. Stanisławowi Estreicherowi wyznaczyć termin prekluzyjny ukończenia pracy oraz aby, o ile okaże się to dla profesora zbyt uciążliwe, powierzyć kontynuację Bibliografii godniejszemu pracownikom, którzy uszanują wolę Zjazdów Krakowskiego i Lwowskiego, a których w Krakowie oczywiście nie zabraknie.

Poobiednie posiedzenie poniedziałkowe wypełniły referaty poświęcone zdobnictwu książki. Olga Reichensteinówna ze Lwowa omówiła problemy i postulaty „Szaty ilustracyjnej książki“. Krystyna Reme rowa ze Lwowa dała piękną charakterystykę artysty malarza o wybitnym talencie — Stanisława Dębickiego (1866—1924) jako propagatora nowych haseł w dziedzinie ilustratorstwa książki i zasłużonego na tem polu działacza zwłaszcza na gruncie lwowskim. Wreszcie Zuzanna Rabska z Warszawy w pięknej formie omówiła współczesny „Artystyczny exlibris polski“.

Obrady wtorkowe rozpoczął Aleksander Czołowski ze Lwowa przedstawieniem ponurego obrazu „Zniszczeń wojennych bibliotek małopolskich“ w czasie wielkiej wojny europejskiej. Zakończył zgłoszeniem wniosku, aby trzeci Zjazd Bibliofilów Polskich polecił Radzie Bibliofilskiej zajęcie się szczegółową inwentaryzacją tych zniszczeń. Następnie Witold Ziembicki ze Lwowa podzielił się z obecnymi swymi cennymi uwagami bibliograficzno-historycznymi „W sprawie „Dryas Zamchana“ Jana Kochanowskiego“. Fotograficzną podobiznę autografu

wydał z okazji Zjazdu Lwowskiego, zaopatrzywszy odpowiednim wstępem, sam referent, a *facsimile* druku z 1578 r. jako pierwszego druku we Lwowie, opublikował w 350-tą rocznicę zasłużony nestor bibliofilów polskich, Franciszek Biesiadecki, jako miłą pamiątkę dla uczestników Zjazdu. Dalej dr. Józef Fritz ze Lwowa dał ciekawy obraz „Księgozbiorów lekarzy lwowskich XVI w.“, na źródłach archiwalnych oparty, który w specjalnej odbitce otrzymali w darze od autora i nakładcy uczestnicy Trzeciego Zjazdu Bibliofilów Polskich we Lwowie. Maryla Tyszkiewiczowa z Florencji sprezentowała obecnym i omówiła własnymi siłami wykonane prace z zakresu sztuki florenckiej, jako autorka, typografistka, ilustratorka i introligatorka, uzyskując za tę niezwykłą działalność wyrazy ogólnego podziwu i uznania. Wreszcie Kazimierz Hartleb przedstawił „Dzieje spuścizny królewskiej“, omawiając dzieje i losy słynnego księgozbioru Zygmunta Augusta. Cenne to studjum z dziejów kultury polskiej XVI w. otrzymali w darze od T-wa Miłośników książki we Lwowie wszyscy uczestnicy i hospitanicy Zjazdu.

W związku z ostatnim referatem Kazimierza Hartleba Zjazd Bibliofilów na wniosek Kazimierza Piekarskiego z Krakowa powziął bardzo celową uchwałę, aby rozproszone na ziemiach polskich szczątki księżnicy Zygmunta Augusta zespolić nanowo i umieścić na Wawelu, szczątki zaś księgozbiorów królów elekcyjnych, również po scaleniu, ulokować na Zamku Królewskim w Warszawie.

Po wyczerpaniu porządku obrad zabrał głos wiceprezes Rady Bibliofilskiej Franciszek Biesiadecki i zawiadomił obecnych o uchwale Rady, aby następny czwarty Zjazd Bibliofilów Polskich odbyć w r. 1929 w Poznaniu, co spotkało się z ogólnym uznaniem. Następnie przewodniczący Trzeciego Zjazdu Bibliofilów Polskich we Lwowie, Saturnin Mravincsics, jako prezes T-wa Bibliofilów Polskich w Poznaniu, w imieniu tegoż T-wa, wśród niemiłkających oklasków, zaprosił wszystkich obecnych na następny Zjazd do Poznania. Gorącym podziękowaniem T-wu Miłośników Książki we Lwowie ze strony przedstawiciela T-wa Bibliofilów Polskich w Warszawie za cenne i bardzo liczne dary, które wartoby szczegółowo omówić osobno — także za staropolskie gościnne przyjęcie oraz za trudy poniesione przy organizacji Trzeciego Zjazdu, zakończono obrady.

Zaraz potem nastąpiło w auli Uniwersytetu Jana Kazimierza uroczyste zamknięcie obu Zjazdów Bibliofilów i Bibliotekarzy, na którym odczytano zaproszenie Magistratu m. Poznania na następne zjazdy w r. 1929 do tego miasta.

Dodać wreszcie należy, że w związku ze Zjazdem Bibliofilskim urządzono we Lwowie cały szereg ciekawych i bardzo pouczających wystaw: książki lwowskiej od XVI do XIX w., grafiki Stanisława Dębickiego, grafiki Rudolfa Mękickiego, dawnego introligatorstwa lwowskiego, opraw Aleksandra Semkowicza, plakatu artystycznego lwowskiego, druków ruskich i lwowskiej książki hebrajskiej oraz zabytków sztuki żydowskiej, wystaw, które niemało przyczyniły się do uświetnienia Trzeciego Zjazdu Bibliofilów Polskich we Lwowie.

EDWARD CHWALEWIK

NOWE KSIĄŻKI

- Kozicki Stanisław. Na Sycylji Warsz. 1928 r. Gebethner i Wolff. Str. 125.
- Kozicki Stanisław. Niemcy i Polska na tle polityki powojennej. Warsz. 1928. Bibl. „Myśli Narodowej” — 2. Str. 40.
- Weyssenhoff Józef, O sztuce pisarskiej Pawła Czajki — z dołączeniem czterech jego nowel z 5 ilustr. — Warsz. 1928, Gebethner i Wolff.
- Sobeski Michał. Z pogranicza sztuki i filozofji. Poznań 1928: Fiszer i Majewski.
- Skałkowski Adam. Fragmenty. Poznań 1928. Księg. Uniwers.
- Tołstoj Leon. Anna Karenina t. V i VI, bibl. dzieł wybor.
- Saysse-Tobiczyk Kazim. dr. Wielkie Zakopane i park narodowy w Tatrach. Warsz. 1928
- Grabski Stanisław. Ekonomja społeczna V. Stosunki robotnicze. Lwów 1928. Zakład nar. im Ossolińskich.
- Mikulski — Wójcik — Kozera. Elementarz powszechny. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich.
- Perzyński Włodzimierz. Znamię. Nowele Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.
- Wóycicki Kazimierz. Walka na parnacie i o parnacie. Materiały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego. Cz. I. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff. S. 234.
- Gąsiorowski Wacław. Księżna Łowicka. Powieść hist. z XIX w. 2 tomy, Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.
- Olgierd Stella. Hanka. Powieść. Bibl. Domu Pol. Muzea regionalne ich cele i zadania. Książka zbiorowa. Biblioteka Regionalna, t. I. Warsz. 1928. Wydano z zaślaku Min. Osw. publ. S. 277.
- Frankowski Eug., prof. un. Pozn. Kalendarz obrzędowy ludu polskiego Warsz. 1928. Bibl. Regionalna t. II. Skład główny: Nasza Księgarnia.
- Pigoń Stanisław. Seweryn Goszczyński w sporze z Kołem „Sprawy”. Kartka z dziejów towianizmu. Odbitka z „Przeglądu Współcz.” S. 41.
- Komarnicki Wacław dr. prof. O praworządność i zdrowy ustrój państwowy. Aktualne zagadnienie konstytucyjne z okresu maj 1926—marzec 1928. Wilno 1928. S. 63.
- Kośkowski Bronisław. Destylacja olejków lotnych z roślin krajowych. Warsz. 1928. S. 27.
- Pomirowski Leon. Doktryna a twórczość. Rzecz o współczesnej krytyce, najnowszej prozie polskiej i o dramacie. Warsz. 1928. J. Mortkowicz. S. 213.
- Augustynowicz Jan. Piekło. Pieśń życia i śmierci Warsz. 1928. Dom Książki Pols.
- Relidziński Józef. Powrót z tamtego świata. Warsz. 1928. Dom Ks. Pol.
- Ruch Literacki, nr. 5—maj.
- Przegląd Współczesny, czerwiec.
- Walka z bolszewizmem. Zesz. IV.
- Przegląd Powszechny, maj.
- Sztuki Piękne. Kraków, Roczn. IV, nr. 6.
- Pamiętnik Literacki pod redakcją Br. Gubrynowicza. Roczn. XXV, zesz. I Lwów 1928.

Z M A R L I

Ś. P. EDMUND LIBAŃSKI

W Brześciu n. Bugiem dn. 10 maja zgasł ś. p. inż. Edmund Libański. Nazwisko to było oobrze znane od lat szerokim sferom inteligencji małopolskiej i zapisane z trwałym dorobkiem oświatowo-popularyzacyjnym. Zgasł był niestrudzonego pracownikiem o bardzo szerokim zakresie działalności. Jeden z założycieli Uniwersytetu Ludowego T-wa im Mickiewicza, długoletni redaktor zasłużonego dla rozwoju przemysłu w b. Galicji pisma „Przemysłowiec”, wynalazca i konstruktor pierwszego w Polsce modelu aeroplanu, ruchliwy prelegent oświatowy, a nade wszystko autor świetnie i gruntownie pisanych rozpraw, feljetonów, studjów i artykułów poświęconych najciekawszym i najdonioślejszym zdobyciom nauk przyrodniczych, techniki, medycyny it.d., które zasilają pisma lwowskie, krakowskie

i warszawskie. Ś. p. Libański był typem wyjątkowo bogato uzdolnionym, bo nawet poświęcał się literaturze pięknej. „ycie miał twarde, zmuszony był do ciągłego borykania się z przeciwnościami. Zgasł w pełni sił, niedoceniony, jak tylu innych, przez nasze społeczeństwo.

NA MARGINESIE

Ułaskawiony z więzienia na pokorną prośbę W. Stępczyńskiego poświęca p. Trąpczyńskiemu z powodu jego wielkiej mowy Sejmowej (ob. Przegląd Polityczny) artykuł wstępny w oddanym rządowi „Głosie Prawdy”. Tem gorliwiej występując się zwierzchności swojej, pisze w ten sposób o zasłużonym parlamentaryście:

„Spójrzmy na tekst owej dziewiczej mowy tego starca, którego biel siwizny mieni się rdzawym odbłaskiem krwi Pierwszego Rzeczypospolitej Prezydenta, mowy dziewiczej a może ostatecznej i oby ostatecznej”. Skoro się tak w „Głosie Prawdy” pisze, to wiemy, że słowa takie nie prorocstwem są, lecz życzeniem, Wszystkie momenty „kryminalnego romansu”, (słowa Mackiewicz z B. B.) o których właśnie była mowa w Sejmie, dałyby się odnaleźć w „Głosie Prawdy” w stadjum, kiedy były w ten sposób „przezuwane”. A przecież p. Trąpczyński wszystkiego nie powiedział Ułaskawiony filut, wieszcząc sąd historii, uspakaja sumienie żyjących:

„W obliczu historii stoi kabaretowy trybunał p. Trąpczyńskiego i obwiniony przed nim Piłsudski. Trybunał ufundowany na umiłowaniu pośludków p. Nowaczyńskiego i Komendant, wyrosły w świat historyczności z miłości Wolności, Polski i z ofiary ciężkiej życia całego, i z geniuszu myśli.

„I oto jest tragedia Polski dzisiejszej, zawarta w niebezpiecznej skali fantastycznych możliwości, w tem, że cymbał brzącający porwać się może przeciw czynowi spiżowemu — a także jest w tem komedia naszej rzeczywistości, że Trąpczyński, najbardziej beztrefciwa egzystencja, może się drapować w tożę sędzię najbardziej twórczej indywidualności w Narodzie Piłsudskiego“.

*

Na marginesie sprawozdań z rozpraw budżetowych w Sejmie Adolf Nowaczyński, po przeczytaniu mowy ks. Janusza Radziwiła z klubu jedyńki B.B. (Sławek prezesem), napisał znakomity feljeton w „Gazecie Warszawskiej” w formie listu Podfilipskiego do pani Płoszowskiej. Podfilipski donosi o wiktoryi odniesionej przez „naszego Prince Rouge et Noir“.

„Sukces niebawomy, nie notowany. Początkowo miał mówić Eustachy, ale się w klubie myśliwskim bał, że go będą szykanować tem powstaniem, jakie robił kilka lat temu, więc desygnowali Prince Rouge. Sejm był cały w komplecie, bo teraz odbywa się wielkie pranie brudów tej bogatej „Jedynaczki”. *Entre nous soit dite*, dziewica choć tak posażna i takimi funduszami gadzinowemi dysponująca, cokolwiek zaniedbuje się w swych *combinaisons* i czystością nie grzeszy. To też siedzi Jedynaczka, jak na węglach rozżarzonych, gdy o niej mówią kolejno wszyscy, różne takie skandale.

„Książę miał sytuację dość trudną, bo poprzedni solista jako orator i statysta okazał się Słabek i miał tylko monolog o romantyzmie, zresztą przyjęty przez naszych owacyjnie, bo podobno on dawnymi laty rzucał bombami na wszystkich gubernatorów kolejno, a naszym to teraz ogromnie imponuje i cieszy, że żadna bomba im się nie dostała. Nie możecie sobie wyimaginać jak go słuchali, że w Sejmie było cicho jak Markiem zasiał i wszyscy wpatrzeni w niego jak zakochani w księżyc na nowiu. Bądź co bądź co *prince* to *prince* i ci ludzie, *en bloc* wzięci znają jeszcze *mores* i mają respekt, wledzą że kto dobrze radzi Wilhelmmom, ten potrafi dobrze poradzić i rodzony ojczyźnie. Obserwowałem od czasu do czasu naszego Kopusia (Olka Skrzyń.) był błądny, nie, zielony z *jaalousie*, widząc jak nowe słońce wchodzi na jego horyzont.

„Ordynatowa szepnęła mi, że czasem, szczególnie w momentach, gdzie groził tak zwanymi komplikacjami międzynarodowymi wprost przypominał tego Skargę z obrazu Reytana.

„Prince Rouge et Noir” był w miarę liryczny, w miarę ironiczny, w miarę patriotyczny, no i w miarę socjalistyczny, bo bez tego teraz ani rusz się przedostać. Koło nas w sąsiedniej łoży siedział ten wspaniały rabin Perlmutter, któremu pierwszy złożył wizytę i miał poprostu łyzy w oczach. Kiwał mu też raz po raz sam marszałek, co jest bardzo znaczące wobec tego, że oni kiedyś byli nieco *fachés* ze sobą, bo pan Ignacy jako wiedeńczyk był z Karolem, a książę jako berlińczyk, oczywiście za nieszczęśliwym Hohenzollernami“...

Przytaczamy tylko urywek. Jest jeszcze humor w Polsce. Szkoda, że tak łatwo da się zbierać garściami z życia publicznego.

ROK ZAŁOŻENIA 1890

PRACOWNIA

Artystyczno-Rzeźbiarska

R. S. LUBOWIECKIEGO

WARSZAWA,
ul. DZIKA Nr. 68, Tel. 42-88.
Konto w P. K. O. 8.831.

WYKONYWA: OLTARZE, AMBONY
i ROBOTY BUDOWLANE

OBRÓBK I POLEROWANIA GRANITÓW WY-
KONYWA SIĘ PNEUMATYCZNYMI
MASZYNAMI

ZNACZNY WYBÓR FIGUR i POMNIKÓW.

CENY NISKIE

PRACOWNIA i MAGAZYN
Wyrobów Podróżno-Skórzanych

JAKO TO:

KUFRY, WALIZY, NESESERY, TOREBKI DAM-
SKIE, PORTFELE, TEKI BIUROWE, PORT-
MONETKI I. T. P.

A. CHAJĘCKI

WARSZAWA, CHMIELNA 35. TELEF. 212-15.

„TĘCZA”

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

Daje w każdym zeszycie oryginalną barwną okładkę. Prócz dużego zasobu pięknie w rotograviurze i innych technikach graficznych wykonanych ilustracji przynosi

„TĘCZA” WKŁADKĘ WIELOBARWNA

„TĘCZA” drukuje stale nowele i powieści wybitnych autorów polskich i obcych, przynosi artykuły treści społecznej i literackiej, dużo aktualnych zdjęć fotograficznych, prowadzi działy: „Wśród książek i czasopism”, „Ze sceny i ekranu” oraz dział rozrywek umysłowych.

„TĘCZA” jest zatem najmiłą, najpopularniejszą lekturą i POWINNA ZNAJDOWAĆ SIĘ W KAŻDYM KULTURALNYM DOMU.

Każdemu, który w celu zaprenumerowania zgłosi się do nas po numery okazowe, wysyłamy je odwrotną pocztą bezpłatnie. PRZEDPŁATA wynosi: kwart. zł. 14.—, ½ rocznie zł. 26.—, rocznie zł. 50.—. Numer pojedynczy kosztuje zł. 1.40.

NAJSKUTECZNIEJSZY ORGAN OGŁOSZENIOWY.

Zgłoszenia przyjmuje Administracja: Poznań, Al. Marcinkowskiego 22; Warszawa, Al. Jerozolimska 39; Wilno ul. Dominikańska 4; Lublin, Krakowskie Przedmieście 43; Kraków, ul. św. Tomasza 35; Lwów, ul. św. Wojciecha 20; Łódź, ul. Piotrkowska 47; Katowice, św. Jana 14.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

„J. FRANASZEK”

STNEJE OD ROKU 1829

ULICA KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 15

OBICIA PAPIEROWE

(TAPETY)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO NAJWYTWORNIEJSZYCH

TREŚĆ: Analogie historyczne *R. Rybarskiego*. — Zmierzch industrializmu *Z. Raczkowskiego*. — O idei Jagiellońskiej *W. Konopczyńskiego*. — O krytyce naukowej i profetycznej *J. E. Skiwskiego*. — Niebieski gość *A. Słonczyńskiej*. — Liberum veto *Al. Świętochowskiego*. — Głosy: Twórczość młodych *S. K.*; Odpowiedzialność za wojsko. — Przegląd polityczny *J. R.* — Nauki literatura: Polska historia literatury angielskiej *W. J. C.* — Z ruchu wydawniczego. — Trzeci zjazd bibliofilów polskich we Lwowie *E. Chwalewika*. — Nowe książki. — Zmarli. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁTEM